

W. JAZDŻYŃSKI — O cielekach chytrych na mleko; J. LITWIN — O władzy człowieka nad przyrodą; W. PALIK — W trybie karności i budzącego podziw sąsiada; H. WORCELL — Ostatnie przygotowania; L. BAKULA — Kraj, który czeka na zwycięstwo ludu; T. ORLEWICZ — Amerykańska „dobroczynność”; A. JACHNINA — U Wicka Rogali, ludowego artysty Kaszub; G. TIMOFIEJEW — Majakowski w Polsce; J. MACIEJEWSKI — „Ogniu” nowego życia demokratycznych Niemiec; W. DREJCZAK — Ulotka; A. MARTUSZEWSKI — Teatr nowego widza; T. ATKINS — Ofensywa pokoju; K. ROZEN — Za murem; H. KIRCHNER — Źródła mobilizacji ideowej; G. MORCINEK — Śląsk i jego ludzie;

wias

tygodnik społeczno-literacki

Rok X

Warszawa, dnia 26 lipca 1953 r.

Nr 30 (416)



A. F. KIRŁO-NOWACZYK

SPÓŁDZIELCZE ŻNIWA

(fragment gawędy pt. „Wspólnota”)

Tego lata obfitsze niż zazwyczaj plony wróżyli sobie ludzie. Spółdzielcze zagony jak okiem tylko sięgnąć kłosiły się suto pszenicą, żytem, owsem. Wieczorami snuto o żniwie tegorocznym powolne rozmowy, nie zaprzętała troska o chleb ludzkie głowy, każdy rad do gawędy mądre rzucał słowa: o plonach jakie daje gospodarka nowa, i jak się na wspólnym rzetelniej gospodarzy, chociaż wróg nie szczędzi pogródek i potwarzy, choć się młota w wściekłości i gromami ciska i chciałby dzieło zniszczyć, wróżąc mu, że bliska czeka je zagłada, że z biedniackiej wspólnoty dobrego nic nie wyjdzie, bo z czarnej roboty tylko złe się rodzi i tyle się doczekasz z tego ile pies ci napłacie i naszczeka...

*

Nie szczędził i pleban gorzkich słów, gdy z ambony „słowo Boże” głosił, „przestrogi” wzbudzony rzucał na głowy ludziom i strzegł od „zarazy czerwonej” owieczki; leciały jako głązy ciskane z wysokości obelżywe słowa — pełna była gniewu twarz księdza purpurowa. Aż się poniekąd ze spółdzielców w sobie łamał, drząc, że jest zamknięta przed nim niebios brama.

*

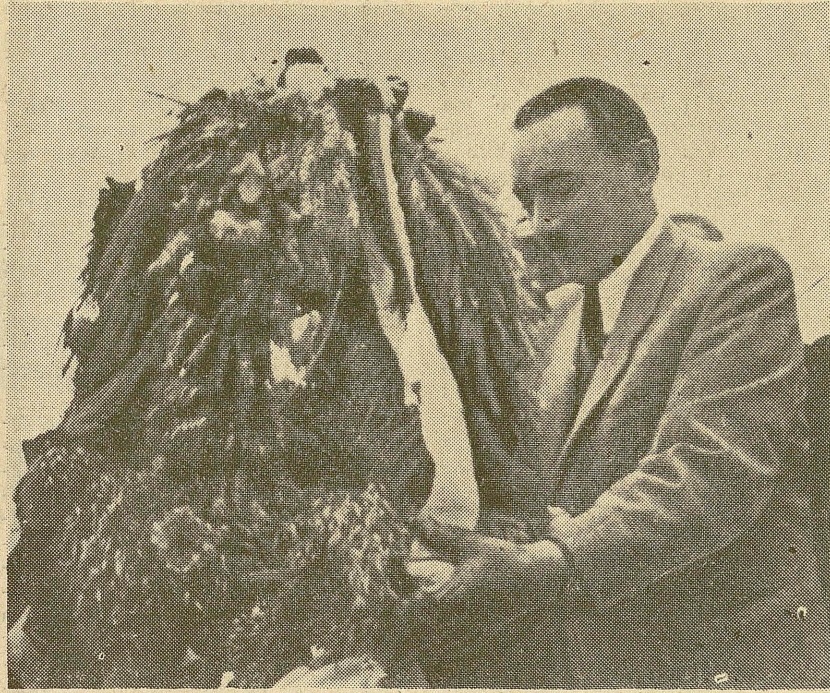
Weźmiesz niż zwykle na zasłużony spoczynek spółdzielcy dziś poszli. Z nad łak opary sine niosły się ku wsi. Na owocujące sady księżyc spoglądał i światłem siał bladym. I tylko jedna lampa o tak późnej porze gorzała jasnym okiem w spółdzielczym kantorze. Tam Zięba z produkującym spółdzielczym aktywnym radził nad roboczego dnia obfitym żniwem.

*

W zagrodzie Moczydlarza z wściekłością na łóż wil się kulak w zawiści, aż gdy go sen zmorzył zwiłniało mu się nagle (sen to był, czy jawa?) że go morze zalewa. Zrozumiał, gdy w gorących obudził się potach: daremna była dotąd kulacka robota... I w trosce o dwadzieścia kulackich hektarów szeptał: — Od spółdzielni chroń, Boże i pożaru!... Rano wiedział: trzeba plan walki zmienić cały... Na spółdzielczym jak wczoraj znów traktory grały...

O coraz lepsze życie wszystkich ludzi pracy o pomyślność i rozkwit Ojczyzny

(Fragment z przemówienia Bolesława Bieruta w dniu 21 lipca 1953 r.)



Bolesław Bierut na zeszłorocznych dożynkach w Krakowie

Swiat nie zapomni szkód i zniszczeń jakie wyrządził naszemu narodowi okupant hitlerowski. Warto przypomnieć adenauerom, neohitlerowcom, kardynałom i biskupom zachodnio-niemieckim, wszystkim wypuszczonym z więzień zbrodniarcom wojennym oraz ich protektorom i sojusznikom, że 6 milionów obywateli polskich zostało wymordowanych w krematoriach, obozach i kazamatach gestapo, w egzekucjach ulicznych, zostało wyniszczonych głodem, nędzą, chorobami i niehumanitarnym postępowaniem na robotach przymusowych w obozach krajach lub w samej Polsce przez terror zdrajcę najeźdźcy. Setki tysięcy domów w miastach oraz zagrod wiejskich, większość fabryk i warsztatów, maszyn i urządzeń, torów kolejowych, mostów, dróg, budynków publicznych, instalacji komunalnych okupant zniszczył planowo, burzył i palił przed ewakuacją dysząc nienawiścią i dzikim pragnieniem, aby nie pozostawił po sobie kamienia na kamieniu. Ze szczególnym bestialstwem w poczuć swą ostateczną klęskę okupant hitlerowski pustoszył i zamieniał w gruzy tereny na Ziemiach Odzyskanych. Warto o tym przypomnieć twórcom neohitlerowskiego wehrmachtu, którzy usiłują dziś udawać niewinnych i pokrzywdzonych baranków, organizując pod amerykańskim patronatem i za amerykańskie dolary coraz nowe ośrodki szpiegowsko-dywerysyjne i rozełganą ponad wszelkie łgarstwa propagandę radiową, w której usiłują doprowadzić do Ziemi Odzyskanej pod polskimi rządami uległy jakoby „zdevastowaniu”.

Ważnym dla ilustracji cyfry o stanie pogłowia zwierzęcego w roku 1945 w całej Polsce i na Ziemiach Odzyskanych, aby uświadomić, że w części wysiłki najeźdźców hitlerowskich nad zniszczeniem polskiego rolnictwa. Z ogólnego pogłowia koni istniejącego przed wojną na obecnym terytorium Polski pozostało w roku 1945 tylko 44 proc., bydła i owiec pozostała zaledwie trzecia część, trzody chlewnej zaledwie 17,5 proc., czyli jedna szósta część stanu przedwojennego. Z tego na Ziemiach Odzyskanych pozostało w zestawieniu ze stanem przedwojennym zaledwie 7,7 proc. bydła i 3 proc. owiec. Można więc stwierdzić, że najeźdźca hitlerowski ogolił nasze Ziemię Odzyskaną zarówno z ludzi jak i ze zwierząt. Któż z nas nie pamięta, jakim to nadludzkim wysiłkiem osadnicy polscy przywracali życie opustoszonej ziemi, jak rolnik wraz z żoną zaprzęgał się sami do pluga, aby nie pozostawić otymańskiej ziemi odłogiem. Ile hartu, ile wytrzymałości i męstwa, ile potu wydobywał z siebie osadnik polski — prawy spadkobierca tej ziemi, aby znów zakwitła ona zbożem, aby dawała plon, na który czekał kraj! I oto zestawimy teraz wyniki tej pracy za lata ubiegłe od chwili wyzwolenia: liczba koni wzrosła w ciągu tego czasu na Ziemiach Odzyskanych blisko 7-krotnie, krow i trzody chlewnej — 12-krotnie, owiec — 27-krotnie!

W dziedzinie produkcji roślinnej sytuacja w roku 1948 — pierwszym roku zbiorów po zakończeniu wojny — przedstawiała się podobnie, gdyż bez dostatecznej siły roboczej, bez zwierząt, bez nawozu, bez odpowiedniego sprzętu ziemia nie mogła być należycie uprawiona. Kraj nasz w ciągu pierwszych lat po wojnie był skazany na głód i gdyby nie braterska pomoc Związku Radzieckiego, który nadsyłał nam w tym okresie poważne transporty zboża i żywności, głód dałby się mocno we znaki. Na Ziemiach Odzyskanych, na przykład, produkcja zbożowa wyjątkowo zdewastowana w chwili zakończenia wojny zwiększyła się jednak w ciągu ubiegłych lat przeszło 4-krotnie w porównaniu z rokiem 1946 i wzrasta nadal. Jednakże ogólny rozwój naszego rolnictwa postępuje na ogół w znacznie powolniejszym tempie niż rozwój przemysłu i nie nadąża jeszcze w dostatecznej mierze za rosnącymi potrzebami naszej gospodarki narodowej.

W przemyśle — rzecz jasna — tempo rozwoju jest znacznie szybsze. Osiągamy obecnie produkcję (mierzoną według wartości i według cen niezmienionych) trzy i pół raza większą niż kapitaliści osiągnęli przed wojną w ówczesnych granicach. Jest to wynik naszych ogólnonarodowych wysiłków nad uprzemysłowieniem Polski Ludowej, jest to przede wszystkim potężny i wspaniały sukces polskiej klasy robotniczej. Ale, rzecz jasna, tempo rozwoju rolnictwa nie może i nie powinno pozostawać na d m i e r n i e w tyle za rozwojem przemysłu. Na tym właśnie polegała nasza główna zadania, stojące obecnie przed nami, aby wydatnie wzmocnić rozwój naszego rolnictwa.

Plan 6-letni postawił przed nami wielkie, historyczne zadanie: przeobrazić Polskę Ludową z kraju dawniej gospodarczo zacofanego — w kraj wielkiego przemysłu i nowoczesnej techniki, w kraj produkującej gospodarki i kwitnącej kultury. Masy pracujące bowiem, pozbawiając się raz na zawsze kapitalistów i obszarników, pragną zbudować w swojej Ojczyźnie nowy, lepszy ustrój społeczny, który zdoła zabezpieczyć całemu społeczeństwu nieustanny wzrost jego stopy życiowej, jego dobrobytu, jego potrzeb materialnych i kulturalnych. Polski lud pracujący buduje z niezwykłym poświęceniem i zapałem swoją Ojczyznę, buduje szybko i pomyślnie. Korzysta on z dobroku i doświadczeń robotników i chłopów Związku Radzieckiego, którzy pokazali całemu światu, czego może dokonać świadoma praca twórcza i stalowa wola mas ludowych, łamiąca wszelkie przeszkody i przeobrażająca od podstaw życie i kulturę 200-milionowego państwa. Budujemy szybko i pomyślnie socjalizm w naszym kraju, ponieważ korzystamy z braterskiej pomocy i wielkiego doświadczenia zaprzyjaźnionych z Polską narodów radzieckich...

*

TOWARZYSZE I OBYWATELE!

Masy pracujące naszego kraju mają słusze prawo do radości i dumy ze swych wysiłków i ze swych osiągnięć. Byłoby jednak rzeczą niewłaściwą, gdybyśmy chlubiąc się sprawiedliwie i zasłużenie naszymi osiągnięciami, nie dostrzegali trudności i niedomagań, których jest jeszcze немало w naszej gospodarce, w różnych dziedzinach naszej pracy. Na odwrót — uwagę naszą winniśmy szczególnie zwracać w tę stronę, gdzie istnieją trudności — po to, aby je w porę usuwać.

Warto to przypomnieć, że już na VII Plenum KC PZPR w czerwcu ubiegłego roku podkreślono z całym naciskiem, że nie wolno godzić się z takim stanem, kiedy rozwój rolnictwa pozostaje na d m i e r n i e w tyle za rozwojem przemysłu.

Nasze osiągnięcia w uprzemysłowieniu kraju pozwalają nam obecnie, w tym okresie, na poważne zadanie podniesienia poziomu naszego rolnictwa. Zadania te pomagają nam w wyrównaniu nadmiernej dysproporcji między rozwojem przemysłu i rolnictwa i przyczyniają się do szybkiego podniesienia stopy życiowej, dobrobytu materialnego i dalszego wzrostu kultury najszerzych mas pracujących w mieście i na wsi.

ADAM SAR

Ludzie i Maszyny

Pomyślcie tylko: na drugi, że końca nie zobaczysz i szeroki łan PGR-owskiego żyta wtoczył się radziecki kombajn. Samobieżny kombajn S-4. Norma godzinowa wynosi: skosić, wymłócić i odwieźć zboże z 79 arów. Czyli w ośmiogodzinnym dniu pracy 5 hektarów 60 arów. Któż jednak pracuje w żniwa po 8 godzin... skoro zboże czeka na kose, a za pracę wykonaną ponad normę przysługuje 50-procentowa progresja.

Są w Polsce kombajnerzy, którzy wykosił już w tegorocznym urodzaju 15 hektarów, poczynając od rzepaku i jęczmienia ozimego, po 250 hektarów. Wykosił i wymłócił. Pomyślcie tylko: 250 hektarów... Czyli dwóch ludzi: kombajner i jego pomocnik, wykonali pracę 500 kosiarzy (kosiarz zetnie przeciętnie pół hektara dziennie) i 500 odbieraczy. A gdzie wiązanie, ustawianie w sztygi, zwózka do stodoły i stert, młocka...

Nie wiem, ile kombajnów pracuje na polach w tegorocznych żniwach. Wiem jednak, że w okręgu Szczecińskim pracowały w ubiegłym roku dwa kombajny, a w bieżącym dwadzieścia sześć. Czyli trzynaście razy więcej.

Maszyny pracują na PGR-owskich polach. Kombajny, snopowiązalki, żniwiarki, kosiarki...

*

Jan Grzegorzczak pochodzi z powiatu Konińskiego. Z tego powiatu, gdzie 15 lat temu zżniwiał się przed żniwami gromady chłopskie „na bandos”. Z sierpami i kosami. Grzegorzczak jest młody, ale pamięta te czasy, kiedy ręce chłopskie były tańsze od maszyn, kiedy w powiecie koneckim nikt nie widział traktora, kombajna ani snopowiązalki a w poszukiwaniu pracy przemierzano się dziesiątki i setki kilometrów piechotą.

Dzisiaj samochody przywiozą ze wsi i odwożą codziennie setki robotników koneckich fabryk. A Jan Grzegorzczak ukończył kurs kombajnerów w Poznaniu (przedtem był traktorzystą) i jeździ na radzieckim kombajnie S-4 w zespole PGR Dobrzany, okręg Szczecin-Północ. Jeździ, to znaczy żnie i od razu młóci.

Wspaniała maszyna — ledwie że bulek nie piecze.

*

Na PGR-owskie ziarno się wne, ziarno selekcyjne czekają spółdzielnie produkcyjne, czekają chłopci gospodarujący w pojedynkę. Ziarno przeznaczone na chleb i na paszę pójdzie do magazynów. Dlatego nie mówi się „żniwa”, ale „żniwa i omloty” albo „akcja żniwno-omlotowa”, bo żniwno towarzyszą omloty. Straty są wtedy najmniejsze: na ziarnie i w ludzkiej pracy. Kombajn młóci zboże wprost na pniu (a może młóci i ze sztygi albo ze sterty) na polu ustawia się komplety młocarniane. Hasło: młócić jak najwięcej ze sztygi.

Hasło: wykorzystać w pełni maszynę, walczyć z marnotrawstwem pracy ludzkiej. Ręce ludzkie są najcenniejsze. Nie odrzuca się dziś w PGR słomy spod młocarni. Robi to mechanicznie dmuchawa. Potężny prąd powietrza w metalowej rurze wypływa słonę w pożądanym kierunku i na potrzebnej wysokości. Więcej: ustawia się obok siebie dwie młocarnie z jedną dmuchawą. Należy ona odrzucać słomę od obydwóch. Więcej: obok miejsca młocni stawia się stertę. Po co? Zdarzy się, że maszyna się zepsuje — ludzie i wozy nie czekają: przechodzą do stertowania. W razie deszczu słoma do nakrycia sterty nawet nie zakończonej jest na miejscu.

Nazywa się to: właściwa organizacja przy omlotach.

*

Maszyna to wielokrotnie ręce ludzkie. Ale nawet najlepiej przygotowana maszyna może się zepsuć. Traktorzysta czy kombajner mówi wtedy: awaria. Co wówczas? Ściągać maszynę do warsztatu, który nieraz odległy jest o kilkanaście kilometrów?

Warsztat zespołu w Chociwelu zabezpieczył się na każdą ewentualność. Na ciężarowym aucie umontowano silnik spalinowy z prądnicą. Daje ona elektryczny napęd dla spawarki, kompresora, szlifierki i wiertarki. Daje oświetlenie elektryczne, co pozwala na pracę o każdej porze.

Wystarczy telefon z gospodarstwem donoszący o awarii. „Gdzie, na którym polu? Na ruchomych warsztatach wieści donosi Dynia, który poza tym jest spawaczem, zastąpi w potrzebie elektryka i potrafi prowadzić samochód. Uszkodzenie, nawet poważne, usuwa się na miejscu.

Nazywa się to: walka z przestojami maszyn żniwnych. Warsztat-ruchomy montowali: Arkadiusz Chlebcewicz, który wykonał pomysł, Andrzej Dynia i Józef Gołis.

*

Walka o zbiory to nie wszystko. W tym okresie walczy się już o nowe plony.

Na pokazie organizacji pracy w akcji żniwno-omlotowej zorganizowanym w Starzycach (w tymże zespole Chociwel) pokazano, jak robić, żeby to samo pole, na którym o świecie rośnie jeszcze żyto, obsiać w południe poplonem na paszę zieloną, względnie na kisonki albo do przyprawy na zielony nawóz.

Przez pole w Starzycach przeszli kolejno: Jan Dziopa na snopowiązalcę, Janusz 444 brigady SP, zestawiający snopy w proste rzędy sztygi, Stefan Wójcik na konnej grabiarce, Olga Filipczak, zbierająca zgrabioną tęgą na kupy, Stefan Zyla na „Ursusie” z plugiem do podorywek i przyczepną broną, potem siewnik i bronki posiewne.

Poplon został zasiany. Podorywka zniszczy chwasty.

*

Marysia Krawczykówna pochodzi z powiatu Mogiła. Marysia Oświecimska z toruńskiego. Obie — gospodarzki córki. Były w jednej brigadzie SP. Pracowały w PGR. Ich turnus kończył się w czerwcu. Zostały w PGR na lipiec. Już nie w brigadzie, ale jako robotnice sezonowe.

Dlaczego? „Tu pracuje się jakby na weselu. Tyle maszyn i takie maszyny...” Ale co napisać do domu? Robotnica w PGR — czy to awans? — tak pomyślał ich rodzice. Napisały więc: pracujemy w biurze...

Napiszcie o kombajnach, a zmieni rodzice zdanie.

Adam Sar

HANNA KIRCHNER

ŹRÓDŁO MOBILIZACJI IDEOWEJ

(O ostatnich książkach Tadeusza Borowskiego)



GDY nie ma już wśród nas Tadeusza Borowskiego, wszyscy ci, którzy go znali, którzy kiedykolwiek spotkali się z nim, troskliwie przechowują pamięć o tych cennych spotkaniach, o tej niezapomnianej znajomości, czy przyjaźni. Pamiętam, jak przyszedł na nasze kolejne niedzielne zebranie warszawskiego Koła Młodych Literatów. Przyszedł, aby opowiedzieć nam o swoim pobycie w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Pamiętam do dziś bardzo wyraźnie to, co opowiadał o nowym życiu w odrodzonych Wschodnich Niemczech, o prowokacjach imperialistów, którzy za wszelką cenę chcą uniemożliwić zjednoczenie Niemiec i ienią się z wielokrotności na widok błękitno-błyszczących FDJ-towców i ruszowań w demokratycznym Berlinie, o nowych ludziach NRD, o 22-letnim burmistrzu Lipska, o przyjaźni młodych Niemców z naszą, polską młodzieżą.

*

Jego trzy książki* odznaczają się jedną wspólną cechą — są pisane dla aktualnych potrzeb, wyrastają z rozległego nurtu wydarzeń naszego kraju i całego świata. Utało się mniemanie, że taka doradza aktualność sprzyja szybkiemu starzeniu się sztuki, że po pewnym czasie większość zawartych w niej treści wietrzeje i blednie. Jeśli to twierdzenie jest w ogóle słuszne, to może się odnosić tylko do dzieł, które zawierają treści bardzo periferijne, wąskie, nie obejmujące doświadczenia wielu ludzi. Zawartość ksiązek Borowskiego — to sprawy o największym ciężarze gatunkowym dla każdego z nas. Wzmocnia ich wymowę wielki talent i rzadko spotykana pasja twórcy. To sprawia, że nie grozi im starość i zapomnienie.

„Nie wiadomo co przeważa w twórczości Erenburga: czy publicystyka w jego literaturze, czy literatura w jego publicystyce” — pisał Borowski w jednej ze swoich „małych kronik”. To zdanie niesłychanie trafne, może służyć za określenie twórczości Borowskiego.

W swoim czasie robiono Borowskiemu zarzuty, że przestał być pisarzem, że stał się publicystą. Coż za fałszywy podział! Jeżeli w całym okresie wielkiego nateżenia pracy pisarskiej z lat 1950—51 (do dnia śmierci) przeważają w dorobku Borowskiego wielkie artykuły polityczne i małe felietony, to dlatego, że Borowski był pisarzem walczącym, namiętnym i niecierpliwym, chciał ruszać do ataku na tychmiast, nie odkładać, trafiać od razu do celu. To nie znaczy, że nie myślał o innych formach. Chciał pisać wiele opowiadań, marzył o powieści, zbierał do nich materiał we wszystkich swych felietonach w których jak w pszczelnym plastrze gromadził się gesty miód jego niesłychanie szerokiej wiedzy o naszym współczesnym świecie.

Dwa naczelné tematy dorobku Borowskiego z dwóch ostatnich lat jego życia, to sprawa pokoju i sprawa kultury. Oczywiście, każdy z tych dwóch tematów jest nie do pomyślenia bez ścisłej łączności z drugim, ale sprawa pokoju można rozważać w tak rozległym aspekcie — jak rozległa i nieograniczona jest skala spraw człowieka. Sprawa sztuki odnosi się zarówno w publicystyce Borowskiego, jak i w opowiadaniach, szkicach i reportażach. Mieści ona w sobie wielokrotnie formułowaną, nasyconą jakże bogatym i wciąż nowym materiałem dowodowym, mowę oskarżycielską przeciwko sztuce i kulturze imperialistycznej, tej jak ją Borowski nazywa „bezsilnej prowokacji” faszyzmu (artykuły z tomu „Na przedpolu”, „Małe kroniki”).

Borowski z ogromną pasją i żarliwością uczynił obronę kultury przed zniszczeniem i zatrutą, ukazuje łączność najbardziej osobistych spraw człowieka z polityką, z walką o pokój. Udowadnia klasową treść, klasową funkcję sztuki. Pokazuje, że może ona być zarówno narzędziem ujarzmania i wojny, jak i skutecznym orężem pokoju, zależnie od tego, jakie nosi cechy, w czym ręku się znajduje. Borowski walczył więc o sztukę postępową, humanistyczną, prawdziwą i przeciwstawia ją ludobójczej sztuce

imperializmu. Stąd wielokrotne apele Borowskiego do naszych twórców, uświadamianie im głównego celu walki: obrony pokoju. Wiele małych kronik poświęca Borowski sprawom współczesnej literatury polskiej — walce o podniesienie dojrzałości ideowej pisarzy, o wyrugowanie wszelkich burżuazyjnych, fideistycznych wpływów ideologicznych. (Szczególnie kroniki: „Rozmowa z formalistą”, „Produkcyjne narady pisarzy”, „Granice hierarchii”, „Sztuka i człowiek”, „Sedno sprawy”).

Sprawa pokoju, to sprawa polityki — mówi Borowski. Siewcą mordu, wojny, zniszczenia jest imperializm, jest faszyzm. Walka o pokój musi być zatem walką przeciw faszyzmowi. Ten jasny wniosek Borowski przeprowadza konsekwentnie przez wszystkie swe utwory. Pokazuje, że faszyzm jest groźny, że istnieje ścisły związek, przedłużenie między działalnością twórców Dachau i Oświęcimia, a ich współczesnymi chlebodawcami imperializmem anglo-amerykańskim.

Proporcja prawdziwej, rosnącej potęgi obozu pokoju i kurczącej się siły imperializmu jest źródłem poważnego, głębokiego optymizmu, który nie uspokaja, ale porusza do namiętniejszej, nieustępliwiejszej walki. Ten optymizm przenika całą twórczość Borowskiego i znajduje u niego niezwykle bogatą dokumentację. Borowskiemu — faszyzm zabrał lata najpiękniejszej młodości a pozostał wspomnienie obozu koncentracyjnego. Borowski znajduje zawsze słowa najsilniejszego oskarżenia i potępienia faszyzmu, dokumentuje je zarówno znanymi z własnych przeżyć faktami zbrodni hitlerowskiej jak i przykładami najsłabszej praktyki uczenia, który przetrwał mistrza; współczesnego imperializmu amerykańskiego. Borowski zna jednak ciężar pięści podniesionej przez prostego człowieka przeciwko faszyzmowi i dlatego każdy obraz gnijącego kapitalizmu kontrastowany jest obrazem naszej siły. Kontrast ten wzmocnia oskarżenie, ale także podtrzymuje nadzieję i ostrzeżenie:

„Owoce drzew nie będą wyrastały bujnie na popiele ludzkim i węgla spalonych domów jak sady Hiroshimy, lecz będą przekształcone ręką człowieka jak drzewa Mizurina. Drogi ludzkości nie będą oświetlone bombami atomowymi, lecz energią elektryczną Kujbyszewa i Stalingradu.”

Kapitalista nie zdusi świata w swych łapach. Wyjmiemy go z ręki i z dumą podniesie do góry jak syna — zwycięski, wolny, szczęśliwy człowiek.”

Pokój jest sprawą, walki przeciw faszyzmowi, jest sprawą wolności społecznej, suwerenności narodowej. Stwarza on podstawy do zbudowania trwałej wspólnoty, współpracy narodów. W jednoczącej narody walce o pokój, wzrasta i krzepnie rewolucyjny międzynarodowy. Przenika on każdy utwór Borowskiego. Sporo miejsca zajmują w nich sprawy Niemiec.

Borowski poświęcił dużą część swojej twórczości bezkompromisowej, żarliwej walce o nowe Niemcy. Jego praktyka twórcza jest cennym narzędziem agitacji wobec tych wszystkich, którzy widzieli wroga w narodzie a nie w faszystowskich warstwach narodu.

Doświadczenia niemieckie dają mu materiał do jednego z najpiękniejszych opowiadań: „Muzyka w Herzenburgu”. Do wielkich artykułów publicystycznych z tomu „Na przedpolu”, do szeregu „małych kronik”. Utwory publicystyczne zadziwiają bogactwem faktów i obserwacji. „Muzyka w Herzenburgu” jest mistrzowskim obrazem walki o nowe Niemcy, obrazem, w którym krzyżują się najistotniejsze konflikty NRD, gdzie walka o pokój jest walką z pozostałościami hitlerizmu. W opowiadaniu tym pokazane są siły prawdziwych Niemiec — stary postępowy profesor i wyrwany faszyzmowi przez radzieckich ludzi b. oficer hitlerowski, Heinz Lohner — dwaj towarzysze w walce o pokój i zjednoczenie Niemiec.

Linie zwycięskiej walki ludu przeciwko ciemniejszemu nakreśla Borowski na innych jeszcze przykładach. Pisz mianowicie o rewolucyjnych tradycjach klasy robotniczej, odtwarzając wyinek z wielkich dni rewolucji 1905 roku w Warszawie. Opowiadanie pt. „Czerwony maj”, którego bohaterem jest Feliks Dzierżyński, stanowi fragment wielkiego epickiego obrazu, pełnego rozmachu i plastyki.

„Nie ma większej siły, niż klasa robotnicza. Od zranienia się o elementarne prawa do skupienia kadr — do obrony obojczy proletariatu — do walki o pokój dla ludzkości — jakże wyrosły jej cele!” (kronika pt. „Wyższe transparenty, koledy!”) W innych artykułach („Niezwyczajne lato” z tomu „Na przedpolu”), kronikach, mówi Borowski o klasie robotniczej zwycięskiej, walczącej o pokój i zbudowanie socjalizmu. Opowiadanie „Kłopoty pani Doroty” i „Dysputy księdza dobrodzieja” — mówią o wrogach, ale mówią także o zwycięstwie nad wrogiem, o sile proletariatu. Budownictwo socjalizmu w naszym kraju, to najważniejsza, najbardziej efektywna forma walki o pokój. Tej prawdziwej poświęcone są najlepsze utwory publicystyczne Borowskiego z „Listem

do młodych agitatorów pokoju” na czele. Wiele kronik poświęca Borowski walce o plan, zwalczaniu biurokracyzmu, oportunistów, oziębłości ideowej, stawianiu zdala od toczącej się w naszym kraju walki. Pokazuje ścisły związek między osiągnięciami w naszej pracy, sukcesami osobistego życia, a koniecznością walki o ich zachowanie poprzez obronę pokoju.

Truman kiedyś jeździł do Berlina więc chyba widział ruiny kancelarii Hitlera. Może także widział napis na bunkrze „Nie wieder krieg”. Namalował go bezimienny Niemiec, pacyfista. Pod spodem dano lapidarny komentarz: „A no, poprobuje Sierżant Kowalow”. Ten kapitalny fragment kroniki pt. „Lekcja historii” daje przykład jednego z podstawowych elementów o-mawianych utworów Borowskiego — wiary w potęgę prostego człowieka, który obroni pokój i niezachwianego zaufania do radzieckich ludzi, których ojczyzna, których genialny wódz, uosobienie pokojowej woli narodów, są najlepszą rękojmią zwycięstwa sprawy pokoju.

Możnaby wymienić kilka cech realizmu Borowskiego przejawiających się zarówno w jego publicystyce jak i w innych rodzajach twórczości. Jest to przede wszystkim niesłychana konkretność, umiejętność tworzenia na podstawie konkretnego faktu wielkiego, politycznego uogólnienia.

Może szczególnie decyduje o pięknie, plastyczności, literackości publicystyki Borowskiego, częste posługiwanie się obrazem artystycznym. Np. ileż mówi o nierozważnej łączności walki o pokój i postęp taki obraz: „Berlin, miasto robotnicze śpi, tylko nad Bramą Brandenburską oświetlona reflektorem powiewa flaga pokoju. Kiedy wiatr zarzuca ją na niebo, flaga ta ciemnieje, staje się siną jak niebo. Kiedy ogarnia ją smuga światła, widać, że to powiewa czerwony sztandar nad Berlinem.”

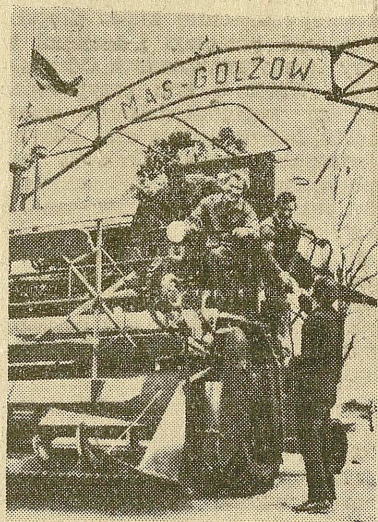
Szczególną cechą publicystyki Borowskiego jest również jej dowcip, przejawiający się najczęściej w formie ironii, sarkazmu, w satyrycznym spojrzeniu na wrogi pisarzowi świat.

Jest to także cecha jego opowiadań, dowcip, ironia przejawiają się tu w jeszcze liczniejszych formach, pełnią rozmaite funkcje. Służą rozładowaniu patosu, lub są elementem oceny. Borowski przedstawia wroga w całej prawdzie jego indywidualnych racy, jakby od wewnątrz, tak jak w „Dysputach księdza dobrodzieja” i „Kłopotach pani Doroty”. Autor usuwa na bok, dopiero w pewnym momencie ma-

(Dokończenie na str. 8)

IRENA MACIEJEWSKA

„OGNIWA” NOWEGO ŻYCIA DEMOKRATYCZNYCH NIEMIEC



OPOWIADANIA początkujących pisarzy Niemiec demokratycznych zawarte w tomiku „Ogniwa” — należą do tego nowego typu literatury, która rodzi się w wyniku pełnej emancypacji politycznej i kulturalnej szerokiej masy.

Twórcy opowiadań zamkniętych w tomiku „Ogniwa”, to w większości ludzie dojrzały, 40- i 50-letni, którzy przez długie lata marzyli o twórczości literackiej i przed którymi dopiero rzeczywistość Niemiec demokratycznych otworzyła tę perspektywę dając im możność drukowania swoich utworów. Fala tych opóźnień debiutantów jest dla literatury Niemieckiej Republiki Demokratycznej bardzo znamienna, świadczy ona wymownie o tym, że w nurt nowego życia walczącej się z równą pasją młodość jak i starzy, świadczą o tym, że w Niemczech Demokratycznych istnieje realne szanse rozwoju dla tych wszystkich, którzy wyrzekli się zbrodniczych knoń pragną budować przyszłość swego narodu.

Tematyka „Ogniwa” związane są z rodzeniem się nowego w życiu Niemiec. W skrócie ukazują one historię NRD, dzieje jej powstawania i rozwoju. Autorzy opowiadań poprzez uchwycenie węzłowych wydarzeń i procesów, zdołali pokazać przemiany narodu niemieckiego. Uwagę swą skupiają na tej jego części, która do zrozumienia przyczyn klęski hitlerizmu idzie świadomie w kierunku utworzenia demokratycznego państwa niemieckiego, w kierunku odbudowania zniszczonego przemysłu i rolnictwa i wyt-



UPLEYWA 60 lat od chwili urodzin Włodzimierza Majakowskiego — poety, który w pełni ukazał wielkość swej epoki — epoki burzenia starego i budowy nowego ustroju.

Majakowski, pieśń nowego życia uwydatnił najpiękniejsze cechy wyrastającego człowieka przyszłości — bohaterstwo, miłość do socjalistycznej ojczyzny, entuzjazm twórczej pracy. Zanim przejął całkowicie świadomość klasy zwycięsko wkraczającej na scenę historii, musiał przeżyć w młodości długą drogę. Przewodnikiem Majakowskiego na tej drodze był twórca metody realizmu socjalistycznego, Maksym Gorki. Pod jego troskliwą opieką poeta wyzwał się z pokoleń dekadencjonalnych wpływów futurystów, którym holdował we wczesnej młodości.

Poezja Majakowskiego — to poezja rewolucyjna, przeznaczona dla mas i natchniona miłością do człowieka pracy, do socjalizmu.

Majakowski wywarł olbrzymi wpływ na wszystkich wybitnych poetów radzieckich i na postępową poezję krajów kapitalistycznych. Siły ideowej, przekonania i partyjności uczyły się u niego tacy poeci, jak Chilliżyjk, Pablo Neruda, turecki poeta Nazim Hikmet, Niemiec Erich Weinert, wielki poeta francuski Louis Aragon. Na wzorze Majakowskiego

uczył się rewolucyjnej poezji Władysław Broniewski.

Poniżej zamieszczamy artykuł pisarki i poetki francuskiej Elsy Triolet, opublikowany w dzienniku „Humanité”.

W lipcu br. poeta radziecki Włodzimierz Majakowski miałby 60 lat. 23 lata temu umarł, fizycznie. Upięknęło z górą 40 lat od chwili, gdy jego pełna zapалу twórczość upadła jak bystry i ożywczy strumień do rzeki wielkich dzieł narodu radzieckiego.

Książki jego poezji osiągnęły do chwili obecnej około 20 milionów egzemplarzy. Utwory jego znane są iak dobrze w ojczyźnie poety, jak znane mogą być tylko pieśni ludowe.

Co to za zniszczona książka, która wystaje z kieszeni tego młodego robotnika-studenta? To książka Majakowskiego. Kto napisał tę książkę przeszłą kulą, którą wystawiono w muzeum? To książka Majakowskiego, którą pewien czerwonoarmista nosił na sercu. Cóż to za książkę czyta szofer taksówki w czasie postoju? Majakowskiego. Czyje imię nosi ten plac, ten statek, ta ulica, ten czołg, stacja metro, to miasto? Włodzimierza Majakowskiego. O czym toczy się w 1953 roku — w 23 lata po śmierci poety dyskusja trwająca 4 dni, w czasie której 48 pisarzy zabiera głos? O poezji Włodzimierza Majakowskiego.

Włodzimierz Majakowski bierze udział w codziennym życiu radzieckiego ojczyzny — szlachetny i nieublagany, niezłomny i uwielbiany, poruszający serca i umysły. Wielki bojownik związany z biegiem historii, posuwający ją naprzód ze wszystkich sił!

Poeta, który napisał:

Całą swą dzwiczną siłę poety
Tobie oddaję nacierającą klaso!

zasłużył na godne miejsce pośród wielkich uczonych i wynalazców.

Majakowski pomagał zdobywać bastyle starego ładu, odkrył nowy świat poezji dotąd nigdy niewidziany, wznosił sztandar radziecki na szczyty, których istnienia dotąd nie podejrzewano.

*

Majakowski — jeden z twórców „futurysty” rosyjskiego, w okresie, przed i w czasie pierwszej wojny światowej zajął miejsce w czołówce

poezji rosyjskiej. Poezja jego była dekadencją z formy, a często rewolucyjną w treści; cenzura carska nierzadko usuwała całe strony z jego utworów.

Wielki Gorki ocenił świetnie, że w całym „ruchu” poetów futurystycznych było tyle tylko wartości, ile przyniosła jej geniusz Majakowskiego.

Majakowski w tym okresie miał zaledwie 20 lat. Podczas rewolucji cały swój talent poświęcał chwale współczesności i przyszłości swej ojczyzny, walce ze złem przeszłości.

„20 lat pracy” — taką nazwę nosiła wystawa poświęcona całemu dorobkowi poety. Na wystawie tej znajdowały się książki, ulotki głoszące o licznych wyjazdach, odczytach i spotkaniach poety wzdłuż i wszerz Związku Radzieckiego i na całym świecie — oraz afisze z rysunkami i wierszami poety o różnych wydarzeniach w życiu radzieckiej ojczyzny. Historię Kraju Rad — od komunizmu wojennego do 1930 roku, roku śmierci poety — można by śledzić na podstawie dzieł Majakowskiego.

Jasnowidzący świadek swego czasu, a czasem nawet świadek przeszłości notował w swej twórczości najważniejsze problemy z życia swego kraju. Słowami pełnymi płomienno uczucia we wspaniałej formie i często z niezrównanym zmysłem satyrycznym reagował na doniosłe wydarzenia w życiu narodu. Oświecił był reflektorem swojego talentu.

Aby podołać temu zadaniu trzeba było stopić się ze swą ojczyzną w jedną nierozłączną całość, żyć intensywnie jej życiem i posiadać geniusz Majakowskiego.

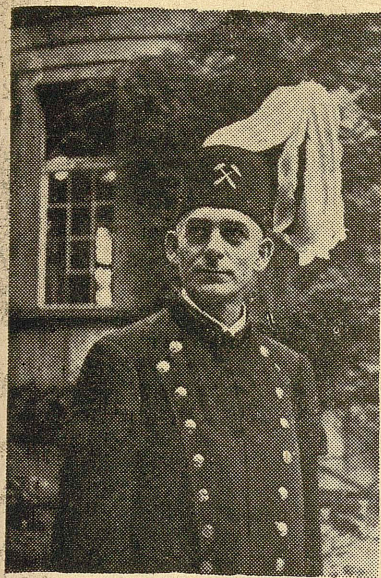
Podziwiamy dziś twórczość wielkiego poety, kroczącą poprzez świat, jak zwycięska armia. Podziwiamy, radując się — gdyż jesteśmy świadkami jej triumfu. Podziwiamy, bojąc się, że nie zobaczymy więcej jej twórcy, że nigdy nie usłyszymy jego głębokiego, dzwicznego, pełnego uczucia głosu, którego poeta nigdy nie podniósł w innym celu, jak tylko — by prowadzić nas ku dobru, pięknu i sprawiedliwości. Niech więc żyje jego poezja!...

Tłum. z francuskiego
H. Wławiński

* 1) Tadeusz Borowski — 1) Mała kronika wielkich spraw, Warszawa, 1951, Wyd. MON; 2) Na przedpolu, Warszawa, 1952, Wyd. MON; 3) Czerwony maj, Warszawa, 1953, PWN

GUSTAW MORCINEK

ŚLĄSK I JEGO LUDZIE



I.

KTOŻ może się pochwalić, że zna Śląsk doskonale, jego wszystkie przedziwne koleje historyczne, przemiany psychiczne, polityczne, społeczne i narodowościowe? Nie wielu takich biegłych w znajomości Śląska.

A Ślązak się obrusza, jeżeli mu powiedzieć, że jego ziemia jest „nieznany kraj”. Cóż do piornika? Nieznany kraj? Przecież cały świat wie o Śląsku, i chociaż czasem tacy politycy, jak Lloyd David George, pomieszczyli jego nazwę z Cylicją w tureckim wilejacie Adana — mimo takich komicznych lapsusów Ślązak przekonany jest, że jego kraj jest „nieznany”. Co więcej! Ze jego ziemia jest nie perla, ale diament, „diamentem w koronie Polski”. Gdy mu przyjdzie do rozważenia, a sumienie rozprawiać o Śląsku, podczas jakiejś lokalnej uroczystości, dowodzi w ferworze, że „Polska została przyłączona do Śląska” po „ostatniej wojnie światowej”. Świadczy to o osobliwej zadufalności Ślązaka, uważającego się za najwłaściwszego obywatela Polski. Poniżej słuszność po jego stronie, jeżeli zważymy, że jego węgiel jest fundamentem Polski Ludowej, że Ślązak bije rekordy w wydajności pracy, że stał się niezaprzeczalnym współwłaścicielem w pracy, a przede wszystkim, że jest górnikiem.

Przywileje od zamierzających czasów Mieszkowych, nadania królewskie i książęce, w okresie powszechnej pańszczyzny wolność gwarkowa, ekonomiczna zależność królewskiego, książęcego lub kościelnego „wielmożny od jego pracy, kumanie” się do śmierci w podziemiu, „grzywanie w karcie” z takimi duchami, jak z Szarlejem, Pustecim, Skarbnikiem, dy ich uczucie „orznać” i w dodatku szpetnie „napieronować”, a obecnie „Karta Górnik” — wszystko to musiało ukształtować jego psychikę na osobliwą miarę, niecodzienną i niepospolitą.

Przychodzą na Śląsk ludzie z innych części Polski, przekonani, że zastaną człowieka gadającego z patosem o Polsce, o ostatnich króplach krwi, o wysoko wzniesionych sztandarach, a tymczasem spotykają Ślązaka umorusanego, szorstkiego, najeżonego „pieronami”, strzykającego śliną przez zęby i gadającego językiem chropowatym i twardym. Słowa jego są za grubszą, dwururką i jakby z grubszą formułowaną, kanciastą i mało urzekliwą. A coraz przegradzane o wym typowym „pieronem”, który może razi uszy nie przywykłą, lecz znowu — zależnie od uczuciowego zabarwienia — wyraża całą gamę nastrojów, od tliwego podziwu czy współczucia, aż do pozornie pośpennego przekleństwa. Przekleństwo to jednak posiada zawsze naliot sówidzarskiego uśmiechu, który przewija się koło chrapliwej spółgłoski, „w owym chrapliwym spółgłoski, „w owym pieronie” na kształt poklepania twardą dłoń na ramieniu.

Zeby Ślązaka zrozumieć, nie trzeba z nim zjeść przystawkiowej beczki soli, wystarczy szczypta życzliwego i mądrego serca i trochę znajomości warunków, w jakich się jego psychika kształtowała na przestrzeni wielu wieków. Warunki te są byty niezwykle. Od chwili bowiem, gdy Kazimierz Wielki rzekł się Śląska na rzecz korony czeskiej, potoczyły się losy owej ziemi odmiennym torem. Piastowie śląscy zmienili się i wymarli. Szlachta polska na Śląsku zmieniła się lub szczytowała i również doszczętnie wymarła. Mieszkaństwo uległo powolniejszej germanizacji, lecz ostatni gwóźdź do jego trumny wbił król pruski, Fryderyk Wielki. A szkoda, bo po mieszczaństwie śląskim zostałby spory dołek piśmienniczy polski, dopiero dzisiaj odkrywamy, trochę nazwisk w rodzaju Bódobów, Rozspółów, Moczygębów, Tłoczykrowów i Matyjurków, oraz zamierzająca już trącają wagantów i scholarusów, synów śląskich mieszczań, którzy wędrowali kupcami do Krakowa, by się kształcić w tamtejszych uniwersytecie, przeżywać się „Impanami” i chadzać z karabela i garnuszkiem, przypaszanymi do wytartego kurbaczka studenckiego. Wyrastali z nich mniej lub więcej sławni mężowie, pełni głębokiej nauki, a spomiędzy nich uczynił się głośnym epigon śląskiego mieszczaństwa, Józef Ksawery Elzner, nauczyciel młodzieńczego Chopina. Chłop zaś,

a później robotnik, pozostali jedynie dziedzicami piastowskiej schedy i nie ulegli wynarodowieniu.

Trudno mówić o wynarodowieniu w dzisiejszym pojęciu, jeżeli zważymy, że owo pojęcie istnieje dopiero od połowy wieku XVIII. W każdym razie chłop śląski mimo naporu niemieckiego i morawskiego zachował swój język polski, mocno zarchaizowany. A znał tylko pańszczyznę, przeróżnego rodzaju „ciężoby” i świadczenia, przemarsze wojsk rakuskich, brandenburskich, szwedzkich, Li-sowczyków i innych zbrojnych hord. Były zamieszki reformacyjne, powódzie, głody, czarne mory, nabożne pacie do Częstochowy, książęcy deocyjne w pierwodrukach, przeróżne Postylle, kancjonały i Biblie katolickie i heretyckie, byli wolni gwarkowie, grzebiący za srebrzem w Bytomiu i w Tarnowskich Górach, a gdy je Szarlej zatopił, szukający przy pomocy wałaskich wiergutów rud wszelkiego rodzaju, byli wspomnieni już wiergutowie, parający się szukaniem owich rud przy pomocy „virgula furcata”, byli woloscy pastersze, wędrujący grzebietami Karpat i Beskidów na Śląsk, lecz przede wszystkim była pańszczyzna, twarda, bardzo twarda pańszczyzna i w rezultacie drobne, nie zorganizowane poruszenia chłopskie oraz zbójnictwo beskidzkie. Najpiękniejszy był żywot zbójnicki, a najszczytniejszy — żywot gwarkowy. I zbójnik był wolny, i gwarek był wolny. Wolność zbójników sławiły namiętne ballady dołabskie, wolność gwarków wyśpiewywał w chropowatych rymach Walenty Roździeński, gwarek tarnogorski w swej „Officina Ferraria” albo Huta i Warstat z Kuźniami szlacheckiego dzieła żelaznego”, wydanej w roku 1612.

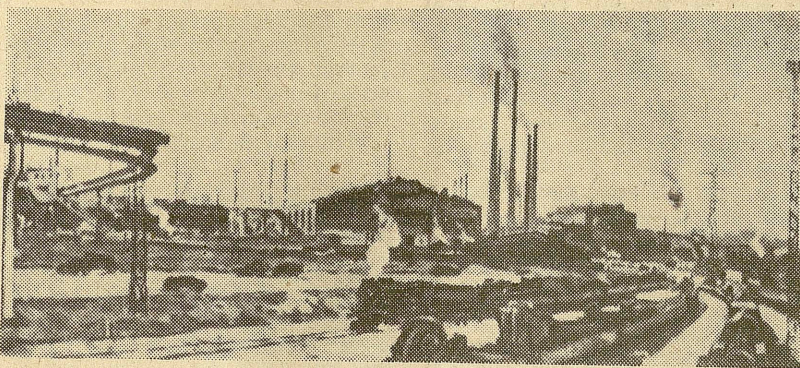
Czasem, przez Śląsk przejeżdżały wojska polskie, gdy na przykład Jan Kazimierz uchodził przed

Szwedami na Słowacznę, gdy Jan III Sobieski ciągnął na Turka lub gdy książę Józef Poniatowski wybierał się wtedy po swoją śmierć w Elsterze. Czasem szukali tutaj schronienia Bracia Polscy lub Bracia Czeszy, zależnie od politycznej koniunktury, tutaj chronili się nie-dobitkowie Konfederacji Barskiej lub rozproszeni powstańcy z roku 1863.

Chłop i gwarek śląski na wszystkich patrzyli w zdumieniu i w zdumieniu słuchali polskiej mowy „przybustów”, trochę odmiennej od ich mowy staropolskiej z naliotem biblijnego stylu, lecz zawsze polskiej. Dziwili się i wtedy, gdy po-brani w rekruty do wojska rakuskiego i zapędzeni gdzieś w italskie ziemie, przechodzili do Legionów generała, obywatela i protektora Henryka Dąbrowskiego. Niejednemu przewodził z nim pól Euro-

Musiał dopiero nadejść rok 1848, by w tamtym „czerwonym wichrze” lejącym od Paryża, Wiednia i Berlina, postyszeć znajome sobie słowa o „włości, równości i braterstwie, o których słyszał wciąż zdumiony, podczas legionowej kampanii w Italii i w Hiszpanii.

Panowie śląscy niemieckiego pochodzenia ubożeli w ciągu wieków, wyzbywali się swych majątków na rzecz rakuskich i pruskich wielmożów, szachrowali ziemią i chłopami, a przyciśnięci nieraz biedą, pozwalali — dla zdobycia grosza — wyzwać się rzutniejszemu chłopu śląskiemu i zakładać nowe Ligoty i Woleństwa, wsi posiadające ulgi pańszczyzniane („Ligota” słowo pochodne od morawskiego „lhoła” czyli ulga) lub zupełną wolność w Woleństwach. Wolność ta jednak była pozorna, gdyż świadczenia ligockich i woleńskich chłopów by-



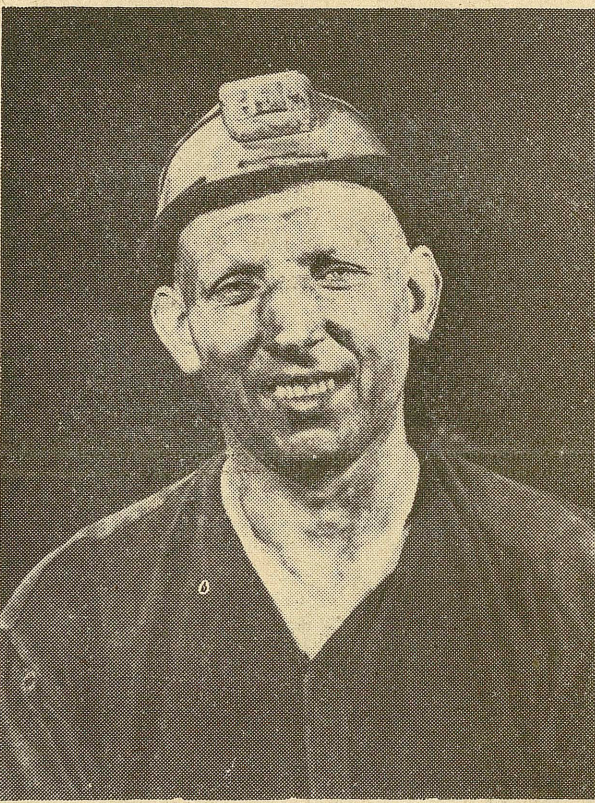
Krajobraz Śląska we współczesnym malarstwie polskim.

py, śpiewał przedziwną pieśń o jakiejś Polsce, która jeszcze nie zginęła, bo oni, chłopci śląscy w Legionach żyją, by w końcu wracać do domu jako „kuternoga” lub bezkarni żebrak, obwieszony cudzoziemskimi medalami, i by na pańskiej „stolicy” brać baty za to, że się zawieruszył w świecie zamiast odrabiać pańszczyznę.

ly tak samo rygorystyczne i zdzierające skórę, jak u chłopów pańszczyźnianych. Tyle tylko, że taki chłop, podobnie jak gwarek zasmakował w wolności osobistej, co stało się jedną z owych przyczyn narastania w nim poczucia osobistej godności i wartości.

(Część II-ga w następnym numerze)

Gustaw Morcinek



EDWARD SZUSTER

LEKCJA ROBOTNICZEGO HONORU



ZAGOZDA? Ja jestem... — cofnął się włąb niewielkiej kuchni i ruchem tym zapraszał mnie do wejścia.

— Prawde mówiąc to ja z waszą żoną chciałem się widzieć. — Jest w domu?

Cień strapienia i zmieszania przesłonił twarz gospodarza.

— W domu jest. Tylko... że chora.

Z kolei ja poczułem się nieswojo.

— Ale wejdźcie, proszę.

✱

Choroba serca u człowieka liczącego sobie sześćdziesiąt jeden lat życia, a w tym czterdzieści siedem lat pracy przy warsztacie tkackim, to sprawa poważna, choćby nawet nie było jeszcze znaków, że tak właśnie jest. A u towarzyszy Zagozda znaki te były. Przed dwoma tygodniami miała atak serca. Od tego czasu leży i leczy się w domu zanim nie skończy się biegająca wokół porządnej, klinicznej kuracji. Towarzyszka Zagozda chce być zdrowa, bo pragnie wrócić do pracy w tkalni w ZPB im. Marchewskiego,

Maż jej pracuje w ZPB im. Dzierżyńskiego, pracuje również starszy syn i jego żona — także młodszy syn i dwaj wychowankowie. Mogłaby więc ta stara matka, jak to się mówi — wypnąć z dyszla, kiedy zmęczone serce daje pierwszy sygnał...

Ale ona nie chce. Dlaczego?...

✱

Ojciec Anny Zagozda przybył do Łodzi ze wsi i pracował w tym mieście jako ogrodnik-dzierżawca. Pracował na własny rachunek, ale robił na cudzym gruncie. W takich warunkach zrozumiał chyba, jakie sily rządzą życiem społecznym, skoro na wiecie do fabryki chodził, w 1905 roku, bojówka narodowców o-mal go nie zabiła za poglądy społeczne i kontakty z SD. W takim domu wychowywała się Anna Zagozda. Ciężka praca całej rodziny i złośliwość macechy zabyły bezcenny urok dzieciństwa. Poszła czterastoletnia Anna do pracy w tkalni. Było to w roku 1908. Własne pieniądze zarobione w okresie względnej koniunktury przemysłu łódzkiego pozwalały czas jakiś mnie-mać, że lot człowiekowi zależy od niego samego, od jego pracowitości i kwalifikacji zawodowych. Potem jednak, kiedy obowiązki wzrosły a możliwości życia kurczyły się z dnia na dzień — zrozumiała Anna Zagozda że nie wystarczy chcieć i umieć pracować. W biedzie i nędzy wychowała czterech chłopaków, dwóch własnych i dwóch przybranych synów. A kiedy dowiedziała się, że jej starszy syn do politycznej, partyjnej roboty się zabrał, uznała, że tak być właśnie powinno. „Jeden z rodziny musi robić w polityce, bo jak nie, to magnaci rozpanoszą się na całego”. Kiedy aresztowano Józefa i na 10 lat więzienia skazano, robiła wszystko co było możliwe, aby więźniowi pomóc przetrzymać sanacyjne więzienie,

Mimo choroby i podeszłego wieku towarzyszą Zagozda chce wrócić do tkalni, do swoich warsztatów. Chce wrócić, nie dlatego, że nakazują jej warunki życia. To świadomość klasowa pcha ją i ciągnie do czterech krosien stojących w rogu sali. To gospodarska troska człowieka, którego życie nauczyło, że jedynie w kraju rządzonego przez masę pracującą praca jest — naprawdę — nie tylko prawem, nie tylko obowiązkiem, ale i sprawą honoru każdego obywatela. Ta świadomość sprawia, że przeszło sześćdziesięcioletnia tkaczka nie chce od tej pracy odejść.

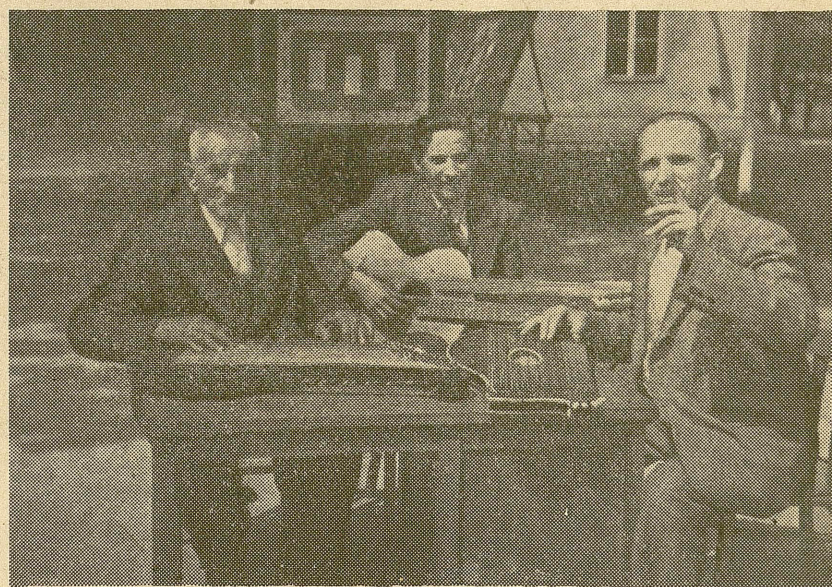
— Ja przy robocie dużo rzeczy widzę, nie wszystkim to się podoba — mówiła, siedząc na roześnanej łóżku. — Moje warsztaty stoją w rogu sali, widok mani dobry na tę i na tamtą stronę. Słyszę, że chcą tam kogoś innego postawić, przez to niby, że ja chorowalam. Nie zgodzę się za nic. Bo niby jak: na nowe warsztaty mnie przenosić, do nowych maszyn się przyzwyczajać, to już dla mnie trochę za ciężko. Prawda?

Myśle, że prawda. Nie należy nakłaniać towarzyszy Anny do zmiany miejsca pracy, choć początkowo sądziłem, że byłoby słuszne dać jej inną, lżejszą pracę. Kiedy jednak powiedziałem jej o tym, spojrzła na mnie uważnie i długo, — Towarzyszu, już mnie rok temu chcieli inną pracę dać, ale odmówiłam, bo ja tkalnici kocham. Tyle lat na niej robię, więc jak tylko szum posłyszę — na pewno się moje serce rozrusza.

Zamyśliła się towarzyszą Zagozda, zastanowiła.

— A jak oczami nie wydołę i od warsztatu tkalni będzie odejść, to też w tkalni zostanie. Robotę znam, pomagaczką być mogę... Nie, z tkalni nie pójdę nigdzie.

Nie rozmawiałam więcej na ten temat. Rozmawialiśmy za to o tym, ile to jeszcze trzeba trudu, dobrej



Zespół Wicka Rogali na występach w Domu Kultury w Chojnicach.

ANNA JACHNINA

U Wicka Rogali ludowego artysty Kaszub

Na Kaszubach pszenicy nie szukaj — powiada przysłowie. I słusznie... Piaszczyste łysiny... jeziora lasy, torfowiska... Ale piękna nie poskapiła natura tej ziemi. Kryją się błękitne jeziora, wrzosowiska i sosny wichrem poszarpane...

Za zakrętem szerokiej, tysiącem brzoź znaczonej drogi nad jeziorem Wdzydze gromadę. Wiele masz jak na dłoni... Tęmiej — wzgórze chemickie, u stóp pluszcze cicho jezioro pieśnieniem borów otoczone.

Gromada jest rozległa, a domek Wicka Rogali ukryty w parowie i tak maleńki, że trudno byłoby go znaleźć.

Ale każde dziecko zna tu Wicka, bo przecież staruszek odwiedza często szkołę, gra na cytrze... gawędzi. Zna go również młodzież i starsze pokolenie. Ono zwłaszcza pamięta dobrze, kiedy Wicka Rogala bronił uparcie ludzi swej gromady przed germanizacją. Mała izdebka Wicka Rogali spełnia rolę świetlicy choć jest tak maleńka, że z trudem pomieści może większą ilość gości — naraz. Siadają więc kto może, na kilku trzeszczących stołkach na brzegu łóżka, czy po prostu zaglądają ciekawie przez uchylone okienko. A niech się jeszcze zejść najbliżsi sąsiedzi — wtedy trzeba nielada zrzeczności, aby jakoś się upchać. Książki, które ze względu na poważną ilość czują się tu jak u siebie w domu — zaściskają staroświeckie biurko, pęcznieją na półce, a nawet z braku miejsca — tarasują cały kąt izby.

Zaczyna się wieczór u Rogali, jeden z wielu, jakie się w tej izdebce odbywają. Często przedmiotem dyskusji jest przeczytana wspólnie książka... Był już na warsztacie Miekiewicz... omawiano życie i twórczość Leonarda da Vinci, były książki współczesne...

Są również wieczory poświęcone poezji kaszubskiej, no i twórczości samego gospodarza. Trzy lata temu Wicka Rogala chcą uczyć wielkiego astronoma „zmieszł kaszubski toast Kopernikowi”! Sam skompono-

wał do niego muzykę i wykonuje ten utwór na cytrze.

Ty, co słonko zatrzymoles
Zemi ruszyć rozkazoles
Żyć nom wiecznie, że poznoles
Ruchy niebios odsukoles,
Toruńska kolebkę wstawiles
Gród ten i ziemię i naród cały
Bo polsce wydało cię plemię!
Za to prawdę mądrość wielką
Poburzyli wiedzę wszelką,
Chcieli ciebie skamienować
I do przy zapakować.
Oszalał do reszty w Warmii
Nowotny miernik. —
Przewrócił na ryby strop nieba
Mikołaj Kopernik!

— „Nie dziwicie się, że to proste, nie fajne — tłumaczy Wick przybyszom — ale ja samouk przecież... za krowami chodzący swoje klasy kończyłem”.

Ballady, kroniki, pieśni, są odbiciem tego, czym w danej chwili żyli ludzie jego gromady, co ich martwiło, co cieszyło, czy gniewało.

„Opowiada również Wicka o pocie kaszubskim — Janie Karnowskim — synu chłopskim z Czarnowa. Karnowski często się z Wikiem spotykał, godzinami wysiadywali na przyzbie domu i gawędzili o różnych, różnych rzeczach...”

„A kiedy Woś Budzys — taki był pseudonim Karnowskiego — przyjeżdżał do rodzinnej wioski, odwiedzał starych ludzi, gawędził z nimi, słuchał pieśni i pisał, a pisał... Tworząc swoją pragnął poeta rozbudzić w Kaszubach świadomość kulturalną, ukazać bogactwo folkloru, zbliżyć tę ziemię do kultury ogólnonarodowej, nasycić ją pierwiastkami patriotyzmu i polskości.”

O każdym z poetów kaszubskich może coś powiedzieć Wicka Rogala. Coś zagrać... coś zaśpiewać, bo do wielu wierszy sam komponował muzykę. Wicka zna życie tych ludzi i pokazuje, że cała ich twórczość to walka, to utrzymywanie polskości tych ziem.

„A przecież on sam — Rogala — ludowy poeta i pieśniarz kaszubski, całe życie tej samej sprawie poświęcił, choć sam — będąc biedakiem — nie mógł się uczyć, nie mógł rozwijać swoich zdolności...”

Co Wicka Rogala zrobił dla tej ziemi kaszubskiej — starzy wiedzą, a młodzi powinni wiedzieć. Całe życie walczył o kulturę polską, powtarzając za poetą Derdowskim:

„Czujcie tu ze serca toni
Skład nasz apostołski —
Nie masz Kaszub bez Polonii
A bez Kaszub Polsci...”

Cale życie Rogala walczyło... „Der polnische König” — mówili o nim miejscowi prusacy i zapamiętali tak dobrze, że podczas ostatniej wojny powódrował Wicka do obozu koncentracyjnego.

✱

Na stole książki — kupowane często kosztem największych wyrzeczeń, wyniki gazet, pisma, artykuły — mówiące o umiłowanej ziemi kaszubskiej. Wśród tych wszystkich pamiątek Wicka Rogala — starzec, który teraz — choć ma już ponad osiemdziesiąt lat, nie powiedziałby jeszcze — „czas odpocząć”. Teraz, kiedy na kaszubskiej ziemi powstają świetlice, zespoły tańca, szkoły, dziecięce, domy kultury, kiedy pieśń kaszubska rozbrzmiewa w całym kraju, kiedy to wszystko o co walczył, stało się jasne i proste, Rogala żyje dziś w odrodzonej Polsce i z tym większym zapalem uczy, gra, śpiewa, czyta, dyskutuje... Dziś jeszcze ze swym zespołem wyjeżdża Wicka do Czucho-wa czy Chojnic, do świetlic, szpitali — dając wieczory literackie, wieczory muzyki i poezji kaszubskiej.

Do występów tych przygotowuje się staruszek wieczorem, kiedy po ciężkiej pracy wraca z pola do domu. — „Świat, jak las — człowiek, jak listek” — mówi kaszubskie przysłowie... Ale nasz Rogala nigdy nie był listkiem... Był, jak ta sosna, której wierzchołek wiatr poszarpał, ale korzeni nie wydarł...

Piękna jest postać Wicka — piękna, jak ziemia kaszubska, która go wydała. Ziemia, którą natura wyposażała tak hojnie, w modrach górów pase dludzie, jezior perle — srebrne strudzie. I w to morze burz-szynowe...”

Edward Szuster

Anna Jachnina

W poprzednim numerze drukowaliśmy fragment powieści Mikołaja Kozakiewicza, wyróżnionej III nagrodą na Konkursie Ministerstwa Oświaty, Związku Nauczycielstwa Polskiego i „Naszej Księgarni”.

Poniżej zamieszczamy fragmenty dwóch powieści o szkole przedwrześniowej.

Powieść W. Drejcza ukazuje działalność młodzieży katemowskiej na terenie szkoły, jej udział w walce klasy robotniczej (przeciwstawianie się dyskryminacji Żydów, walka z fałszowaniem historii prowadzona w kółkach historycznych i innych legalnych organizacjach szkolnych, właściwa interpretacja faktów historycznych według zasad materializmu historycznego, przeniesienie na teren szkoły rewolucyjnej ideologii proletariatu).

Powieść Katarzyny Rożen, to trafny obraz szkoły klasztornej. Po-

przez losy bohaterki, która od bierności próbuje świata „odwiecznego” podzielnego na biednych i bogatych (czyli „złych” i „dobrych”, „leniwych” i „pracowitych”) przechodzi poprzez bunt przeciw osobistej krzywdzie na pozycję walczącego proletariatu, odstawia autorka sens klasowy klasztornej ideologii wychowania.

Powieści te poruszają niezwykle istotne problemy — z przeszłości nie tylko szkoły, ale i pokolenia, którego postawa polityczna, oblicze ideologiczne kształtowało się w latach przedziwnych. Przypomnienie i postawienie tych zagadnień jest dzisiaj sprawą bardzo ważną, szczególnie w obliczu zadań, jakie postawiono przed młodzieżą VIII Plenum ZG ZMP.

Mimo tych bezwzględnych osiągnięć konkurs nie przyniósł spodziewanych wyników. Pisaliśmy już,

że mało stosunkowo prac poświęconych jest szkole współczesnej (trzy powieści o szkole współczesnej na dziewięć nagrodzonych).

Autorki powieści nagrodzonych reprezentują ośrodki centralne: Warszawę (cztery pozycje), oraz Łódź, Szczecin, Gdańsk. Poza pracami nagrodzonymi niewiele jest też pozycji poruszających problematykę szkoły na wsi polskiej w Polsce Ludowej. Zawiedli więc nauczyciele wiejscy, działacze terenowi. A przecież mają oni o czym pisać! Materiał ich doświadczeń i pracy jest obfity. Stać się mógł w setkach przypadków punktem wyjścia do niezwykle ciekawych ujęć jest niepowieściowych to pamiętnikarskich. Szkoła wiejska, jej rola, rola i udział nauczyciela w toczącej się walce klasowej na wsi, w procesie zachodzących przemian kulturalnych i światopoglądowych czekają jeszcze na swojego pisarza.

Redakcja

WITOLD BILLIP

NA PIERWSZEJ LINII

STAŁA trochę ludowego państwa jest podnoszenie świadomości obywateli, poziomu ich wiedzy naukowej i politycznej. Cel nasz będzie osiągnięty, gdy — jak pisał Lenin „każda kucharka nauczy się rządzić państwem”. Bo taki jest sens polityczny upowszechnienia oświaty: przygotować społeczeństwo do rządzenia socjalistyczną ojczyzną.



Nie trzeba już dziś udawać, jak wielką rolę spełnia w tym procesie szkoła. A jednak często jeszcze nie docenia się trudnej pracy i fiarnego pracownika społecznego — nauczyciela wiejskiego. A jednak często jeszcze musi on pokonywać ogromne trudności — od trudności administracyjnych — finansowych aż po przeżytki starego w świadomości uczniów i rodziców.

Nie wszędzie i nie ze wszystkim jest dobrze w szkolnictwie wiejskim. To oczywiście nie może być powodem do narzekania, do zalamywania rąk: trzeba dokładnie określić przyczyny niedomagań i wyprowadzić im nieubłaganą walkę. Trzeba analizować doświadczenia przodujących szkół i przodujących nauczycieli, trzeba zastanawiać się nad przyczynami złej pracy szkół pozostających w tyle.

Długo warto przemyśleć to, co pisze o pracy swojej i swej placówki kierownik szkoły podstawowej w Majdanie w pow. kołobrzewskim, Henryk Szulc. Wiele z jego spostrzeżeń da się uogólnić, z wielu będzie można wyciągnąć szersze wnioski.

„Po wyzwoleniu szkoła mieściła się w zwykłych mieszkaniach chłopów rozrzuconych w rozmaitych punktach gromady. Zainteresowanie społeczeństwa szkołą było w tym okresie niewielkie. Poważna część rodziców, myśląc kategoriami przedwojennymi traktowała posyłanie dziecka do szkoły jako zło konieczne. Trzeba było niejednokrotnie użyć w stosunku do rodziców ostrych środków, aby zmusić ich do posyłania dzieci do szkoły. W pierwszych latach po wyzwoleniu na rozpoczęcie roku szkolnego rodzice zjawiali się w bardzo małej ilości. Dzieci były zatrzymywane w domu, pasły krowy lub pomagały rodzicom w pracy, mimo że gromada kładła rok rocznie poważne sumy na rozbudowę i utrzymanie szkoły.

Dziś ten stan rzeczy uległ całkowitej zmianie. Rodzice interesują się szkołą, współpracują z nią, a Komitet Rodzicielski okazuje coraz większą pomoc dla szkoły i nawiązuje z nią współpracę w walce o wyniki nauczania i wychowania. Również prezydium GRN wykazuje coraz więcej zrozumienia dla potrzeb szkoły. Zachodzi pytanie, co wpłynęło na zmianę stosunku rodziców do szkoły? Na to złożyły się najrozmaitsze czynniki.

Rodzice przekonali się, że szkoła uczy dziś wszechstronnie i rozwija wszystkie władze umysłowe dziecka. Szkoła podaje obszerny materiał naukowy i wiąże go ściśle z życiem. Szkoła wychowuje i przygotowuje wychowanka do przyszłego życia. Zrozumiano, że bez szkoły i wiedzy człowiek w ustroju socjalistycznym nie może niczego pożytecznego dokonać. Chlubimy się tym, że posyłamy co roku około 75 proc. dzieci z klasy 7 do szkół ogólnokształcących stopnia licealnego i szkół zawodowych oraz tym, że dzieci naszej szkoły przodują w nauce w tych zakładach naukowych. Przez systematyczną, sumienną pracę na terenie szkoły i poza szkołą zjedna-

liśmy sobie społeczeństwo i związaaliśmy go ze szkołą. Dziś na rozpoczęcie roku szkolnego zjawiają się rodzice w dużej ilości, posyłają dzieci do szkoły regularnie, odwiedzają wychowawców w szkole i zasięgają informacji o postępach swych dzieci.

Rozpoczynając po wyzwoleniu pracę w szkole nie mieliśmy niemal żadnych pomocy naukowych. Dziś należymy w powiecie do szkół najlepiej zaopatrzonych w pomoce naukowe. Zakupiliśmy je z funduszu, które zdobyliśmy przy pomocy Komitetu Rodzicielskiego, z imprez kulturalno — oświatowych i zabaw. Mamy aparat radiowy, maszynę do pisania, komplet pomocy naukowych do fizyki, chemii, geografii, biologii. Część sprzętu szkolnego (szafy, stoły, ławki) zakupiliśmy z funduszu społecznego.”

Co wynika z tej wypowiedzi? Pierwszym i zasadniczym warunkiem dobrej pracy szkoły jest wzbudzenie w starszym społeczeństwie przeświadczenia, „że bez szkoły i wiedzy człowiek w ustroju socjalistycznym nie może niczego dokonać”. Oczywiście — przeświadczenie to przysięść może tylko razem z ogólnym uświadomieniem politycznym. Nie podobna sobie wyobrazić udanej akcji propagandy szkolnictwa w oderwaniu od ogólnej pracy politycznej wśród rodziców. Partia i organizacje masowe są dlatego bezpośrednim oparciem dla nauczyciela.

Ale nauczyciel, który rozumie, że wyniki jego pracy zależą w dużej mierze od postawy starszego społeczeństwa, umie wykorzystywać swój autorytet w pracy politycznej wśród rodziców. Oto, co pisze na ten temat nasz korespondent:

„Są akcje w terenie, które bez udziału nauczyciela odbyć się nie mogą, bo często tylko nauczyciel mający autorytet wśród społeczeństwa może je pomyślnie przeprowadzić. Podam przykład. W okresie Subskrypcji Pożyczki Narodowej Rozwoju Sił Polskiej wielu obywateli nie uświadomionych niechętnie odnosiło się do tej akcji. Praca uświadamiająca w terenie nie zawsze dawała pozytywne rezultaty. Pozostało na terenie gromady kilkunastu gospodarzy, którzy odmówili subskrypcji pożyczki. Do tych wybraliśmy się specjalnie. Podzieliłmiśmy teren na 2 odcinki. Jeden odcinek oddaliśmy przewodniczącemu Prezydium GRN z sołtysiem, drugi ja z kolegą — nauczycielem. Okazało się, że tamci dwaj potrafili przekonać tylko jednego gospodarza, my natomiast w tym samym czasie 18. Podając ten fakt po to, aby udowodnić, że nauczyciel cieszy się autorytetem wśród społeczeństwa, umie ludzi przekonywać i do nich podchodzić. Inny przykład: Kilko dzieci nie uczęszczało do szkoły. Przewodniczący GRN na próżno przekonywał rodziców o konieczności posyłania dzieci do szkoły. Wówczas poprosiliśmy ich do szkoły i w bezpośredniej serdecznej rozmowie doprowadziliśmy do tego, że dzieci na drugi dzień zjawili się w szkole, uczęszczały regularnie i ukończyły klasę siódmą z wynikiem pomyślnym. Dziś pracując w rozmaitych zawodach. Przykłady podobne można by mnożyć. Wynika z tego, że udział nauczyciela w akcjach społeczno — politycznych jest konieczny.”

Lecz jednocześnie ten sam korespondent jako jedną z podstawowych przeszkód w swej pracy podaje przeciążenie udziałem w akcjach społecznych. „Niejednokrotnie na skutek tego przepadają poszczególne lekcje, a przemęczony nauczyciel nie jest w stanie należycie przygotować się do lekcji”. Sprężność jest tylko pozorna. Henryk Szulc widzi jej rozwiązanie. Ale praca społeczna stała się dla nauczyciela pomocą, a nie przeszkodą, należy „nie przeciążać go nadmiarem obowiązków, ale kierować go tylko na najtrudniejsze odcinki.”

Henryk Szulc pisze: „Służę w wojsku polskim w czasie wojny w stopniu podporucznika, odbyłem kampanię wojenną na szlaku od Warszawy po Łabę jako oficer inżynier”. Pozostał nim do dziś, nauczyciel jest bowiem czysto nie tylko szeregowym żołnierzem nie tylko ideologicznej, toczącej się dziś na wsi polskiej — jest często ważnym i odpowiedzialnym jej kierownikiem.

Witold Billip

W tydzień po rozdaniu półrocznych świadectw wezwana została do przełożonej. — Na litość boską! co za przykrość znów mnie spotka? — zastanawiałam się po drodze.

Jakaż jednak była moja radość, gdy przełożona zakomunikowała mi, iż rodzice 2 koleżanek z III klasy zwrócili się do niej z prośbą o wyznaczenie korepetytorki dla ich córek, które na półroczu otrzymały bardzo złe stopnie.

Po długim namyśle wybrałam ciebie, moje dziecko — powiedziała przełożona. — Jesteś w najtrudniejszych warunkach materialnych, choć ci więc pomogę. Za codzienne odrobienie lekcji z Helą i Hilą będziesz otrzymywała 50 złotych miesięcznie. Staraj się nie zawieść mojego zaufania!

Obsypałam pocałunkami rece siostry przełożonej i wybiegłam na korytarz. Świat wydał mi się cudowny, przełożona aniołem dobroci. Ogarnął mnie wstyd — i ja śmiałam kiedyś posadzać tę anielską kobietę o niechęć do mnie!

Ogrom sumy 50 złotych miesięcznie nie mieścił mi się wprost w głowie. Szybko przypomniałam sobie spis najpilniej potrzebnych mi rzeczy: mundurki, pończochy.

Kilka miesięcy korepetycji i stanę się niemal elegantką! Może będą mogła coś posłać Wilki? No i jeszcze jedno, choć to dziecinne marzenie nie przystoi chyba tak poważnej nauczycielce, jak ja. Mimo to jednak... tak, tak! co miesiąc kupować sobie będę słodycze co najmniej za pięć złotych!

Moje dwie uczennice, córki wysokich urzędników państwowej fabryki prochu, traktowałam niemal z miłością. Co prawda poświęcałam im co dzień najmniej jak dwie godziny, co je bardzo nudziło, ale już po kil-

WŁADYSŁAW DREJCZAK

U L O T K A



Antek pożegnał się i pobiegł. Heniek mieszkał na szczęście na tej samej ulicy. Ale Sarze o zjeździe warszawskim nie zdążył opowiedzieć. Postanowił sobie wrócić do niej po rozmowie z Henikiem. Stało się jednak inaczej. Heniek posyłał go do tajnej drukarni na Bałutach z tekstem ulotki, która musiała być jutro rozrzucona po fabrykach.

— Specjalnie wezwałem ciebie, bo nasz obywatel gonić wydaje mi się za mało doświadczonym. Ty zaś jesteś stary wyga w tych sprawach — tłumaczył mu.

— Znasz jakie nowe szczegóły odnośnie aresztowania katemowców z gimnazjum Piłsudskiego?

— Nie wiem, co ty o tym słyszałeś.

— Wracam od Sary, bo tam znalazła mnie Róża z swoją kartką. Zastanawiałam się z nią, jakim charakterem jest ten Gruska, bo on najwięcej wie. Znasz go? Nie będzie spał?

— On? To jest syn towarzysza, który przesiadził się za komunizm pięć lat i to nie z byle kim, bo razem z Hibernem na Pawlaku. Kuba wdał się w ojca. Pełnił nieostrożność, to prawda, ale to się każdemu może przydarzyć.

— O tym nie mi Sara nie mówiła. Jakże to było?

— Kuba wysłuchał referatu o światowej roli Wielkiej Rewolucji Październikowej. Miał go napisany i czytał. Dostał się w ręce policji. A to

KATARZYNA ROŻEN

Z A M U R E M

ku tygodniach systematycznego odrobienia z nimi lekcji widać było pewne rezultaty.

W miesiąc po rozpoczęciu korepetycji zgłosiłam się sama do przełożonej, prosząc o jakąś zaliczkę, moje bućki rozlatywały się bowiem po prostu.

— Pieniądze na bućki? — zdziwiła się przełożona. — Owszem, rodzice twych uczennic przysłali już należność za korepetycję. Ale bardzo mnie dziwi, że tak stawiasz kwestię. Dobrze wiesz przecież, że korzystasz u nas ze zniżki w opłatach — czyż nie poczuwasz się do obowiązku zwrotu nam swego długu? Te pięćdziesiąt złotych, które zarabiasz, będziemy zaliczać na twoje opłaty szkolne. Dzięki temu będziesz mogła spokojnie dojść do matury. Czasu są ciężkie — nie możemy stosować żadnych zniżek.

Próbowałam zaprotestować, lecz przełożona przerwała mi słodko.

— Widzę, że jesteś wzburzona, jeszcze mogłabyś powiedzieć coś, czego żałowałabyś później. Idź więc do kaplicy, modlitwa ci uspokoi.

Modlitwa w kaplicy nie uspokoiła



Szkoła w Polsce Ludowej

mnie niestety. Nie dorosłam widać do zrozumienia obowiązku spłacenia mego długu wobec siostr.

Gdyby pozostawiono mi choć dziesięć złotych miesięcznie — rozmyślałam rozpaczliwie. — Ale nie, zupełnie nie!

Pomimo tej klęski uczyłam Hilę i Helę z całą sumiennością. Teraz przecież nie mogłam się już wycofać.

Siostra przełożona nie zapomniała jednak o mnie: otrzymywałam parę używanych półbutów po jednej z koleżanek — i to za darmo.

Na nauczycielkę geografii, Lucynę Ostrowską, nie od razu zwróciłam uwagę. Wprawdzie lekcje geografii pod jej kierunkiem stały się pasjo-

nujące, szeroki świat nagle ożył i nabrał barw, przestał być dwiema nudnymi półkulami na poprzęzionej muchami mapie — ale to było jeszcze za mało. Po lekcjach panna Ostrowska zniknęła w swoim pokoju i nie widziałam jej więcej.

Na wiosnę w szóstej klasie rozchorowałam się na grype. Leżałam w infirmerii i powracając już do zdrowia nudziłam się niebylewale. Wszystkie książki z klasztornej biblioteki od dawna znałam już na pamięć, było w niej wszystkiego 60 tomów beletrystyki. W rozpaczy czytałam od deski do deski roczniki „Rycerza Niepokalanej”, jedyne pisma, które klasztor prenumerował.

Poczuwałam się w sobie listy przez szparę w drzwiach.

— „A może mam poprosić którąś siostrę, czy nauczycielkę, żeby ci odpowiedziały?” — pytała Zosia w liście.

Odwiedziły? Ach, jakby to było przyjemnie! Ale właściwie czyje odwiedziły? I nagle uświadomiłam sobie, że jedyną osobą, którą chciałabym zobaczyć, jest Lucyna.

Mimo wszystko zdawała maturo celującą, dzięki czemu przyjęto ją na uniwersytet. Ogromnym zbiorowym wysiłkiem całej rodziny opłacono czesne.

Wkrótce po zrobieniu magisterium udało się jej otrzymać pracę w jednym warszawskim gimnazjum. Były to dwa wspaniałe lata. Ale jak dawniej bolała stara krzywda — nierówność startu życiowego dla dzieci bogatych i biedaków.

Młoda nauczycielka buntowała się kilkakrotnie — odmówiła postawienia lepszego stopnia córkom bogatych kupców czy wysokich urzędników, wojowała z księdzem, namawiającym uczennice do bojkotowania koleżanek-Zydówek.

Ta nieumiejętność przystosowania się do uświęconych tradycji i autorytetem władzy zwyczajów skończyła się jak najgorzej. Straciła pracę i nigdzie innej znaleźć nie mogła. A więc przez trzy lata znowu doręczyła korepetycje, posada guwernantki wielkopolskich dzieci, posada kelnerek...

Dziś jeszcze, po tylu latach, pamiętam każde słowo mego pierwszego rozmowy z Lucyną Ostrowską. Był to moment przełomowy: przestałam być dzieckiem, pokornie godzącym się z istniejącym porządkiem rzeczy. Po raz pierwszy w życiu sformułowałam pytanie:

— Dlaczego tak jest? Dlaczego jedni mają wszystko, a inni nie? Czy świat musi zawsze dzielić się na biednych i bogatych?

Katarzyna Rożen

bardzo obciążający materiał. Podobno nie umie z pamięci przemawiać...

Co mu też przyszło na myśl. Pisać takie rzeczy...

— To inna rzecz. Ale żeby nie wytrzymał bicia na śledztwie i zaczął spać, to wykluczone. On będzie młodziak jak zakłady. I nie tylko sam nie pusi parę z ust, ale będzie jeszcze oddziaływał na innych kolegów.

— Daj mi już tę ulotkę. Pójdę, bo mam dużo zaległych lekcji do odrobienia...

— Już ci daję. Zaczyna się teraz gorące dni. Adwokat Szwajcer twierdzi, że władze nie będą długo zwlekać z procesem. Będą go chciały wykorzystać dla budzenia alarmu, że w szkołach szerzy się „demoralizacja młodzieży”, będzie się rozrywało szaty nad „wywrotową” działalnością partii komunistycznej, której resztki legalności są solą w oku klucze Piłsudskiego.

— Z ambon przestrzega się już rodziców przed „czerwoną zarazą”, przed „zatrutowaniem czystej krwiny narodu, jaką jest młodzież”. Nasza partia na pierwsze strzały w tej walce chce odpowiedzieć strajkami i demonstracjami, w których się będziemy dopominać prawa do pracy i prawa do życia tej „demoralizowanej” młodzieży. Ulotka, którą poniesiesz, nawołuje właśnie do takiego demonstracyjnego strajku. Tylko, Antos kochany, bądź ostrożny, bardzo cię o to proszę.

Antek schował głęboko tekst ulotki i poszedł do przystanku tramwajowego, żeby pojechać na Bałuty. Dawniej w takich wypadkach czuł się znacznie bezpieczniej niż obecnie.

Tymczasem aresztowanie grupy Szwajcera zachwiało po raz pierwszy tą usypiającą społecznością pewności. Gazety łódzkie, warszawskie, krakowskie, a za nimi inne pomniejsze zaczęły już wtedy bić na alarm, przerażone „widmem komunizmu” wygłaszały w samej twierdzy sanacyjnego reżimu: w szkołach średnich ogólnokształcących, tych szkołach wychowujących elitę społeczeństwa sanacyjnego.

Antek wiedział o tym lepiej od innych. Wiedział, że jest myszka, której schwytanie przysporzyłoby panu Weynerowi wiele radości i zaszczytów.

Zapuszczając się w krętą uliczką Bałut, mijając nędzne domki, uważnie rozglądał się na wszystkie strony. Ulica była prawie ciemna, elektryczne lampy paliły się rzadko

i słabo. Gdy znalazł się już na ulicy, przy której znajdowała się drukarnia, usłyszał za sobą kroki. Uliczka była na tym odcinku zupełnie bezludna. Postanowił na wszelki wypadek skręcić w pierwszą napotkaną przecznicę, żeby go idący z tyłu wyprzedził i poszedł w swoją stronę. Ale prawie w tej samej chwili tamten przyspieszył kroku i minął Antka ocierając mu się o ramię. Oddaliwszy się nieco zatrzymał się i zaczął zapalać papierosa. Gdy Antek mijał go, tamten zapytał:

— Można wiedzieć, dokąd to młodzieniec o tak późnej porze podąża?

— Co panu do tego, dokąd idę? To moja prywatna sprawa. Głos Antka zadrał i ciarki przeleciały po skórze.

Czy tamten dosłyszał to załamanie się głosu, bo bladej twarzy Antka zobaczył nie mógł z powodu panującej ciemności, czy podpatrywał go już od dłuższego czasu, tego Antek nigdy się nie dowiedział. Nieznajomy odpowiedział drwiąco:

— Jestem agentem tajnej policji. Oto mój znaczek. Młodzieniec pozwolił mi na komisarza. Tylko proszę iść spokojnie, bo ostrzegam, że rewolwer mam w kieszeni odepieczony... Proszę tedy.

Poszli. Antek wewnętrznie cały zdrewniał. Nie mógł się pogodzić z myślą, że wpadł w tak nieoczekiwanym sposobie. Wiedział, że jest zgubiony, że zostanie zdeprawowany, bo ma przy sobie tekst ulotki. Więc miałby tak marnie skończyć swoją karierę polityczną? Naraził kolegów? Nie, to jest niemożliwe, on się musi za wszelką cenę wyrwać z rąk tajemnika. Zdawał sobie sprawę, że może przypłacić to życiem, bo tamten ma w pogotowiu broń, ale mimo to postanowił spróbować.

Gdy przecinali wąską, słabo oświetloną uliczkę, obrócił się tak gwałtownie, że tamten nie zdążył wyciągnąć rewolweru, zacisnął pięść i dał mu klasyczny cios w szczękę. Był to cwoć wielu ćwiczeń pod okiem Henka, który z zamiłowaniem uprawiał boks. Nie wypadło to tak, jak się Antek tego spodziewał. Tajniak był tegim mężczyzną. Od ciosu zachwiał się, ale nie upadł. Jednak te sekundy, gdy tamten stracił równowagę, wystarczyły, żeby Antek puścił się biegiem, ile tylko miał siły w nogach. Posyłał za sobą wstrząs. Po strzale przeciągły gwizdek. To tajniak alarmował posterunki policji i przyzywał je na pomoc. Z plecami słyszał jego kłatwy i ciężkie kroki.

Biegając zdawał sobie sprawę z

przecież znalazł Lucynę tak mało!.. Widać podświadomie wyczuwał, że w niej dobrego, mądrego człowieka, któremu można zaufać.

Lucyna słuchała uważnie, nie przerywając ani słowem. Gdy skończyła, gdy opowiedziała wszystko do końca, nawet o nieznacznej sprawie z korepetycjami — ona zaczęła mówić.

Opowiedziała mi o młodzieńczej córce robotnika — metalowca warszawskiego, która z chwilą uzyskania przez Polskę niepodległości w 1918 r. postanowiła wstąpić do gimnazjum, a potem zdobyć wyższe wykształcenie. Nielatwo było zrealizować marzenia. Przez gimnazjum przebrnęła jako dorabiająca korepetytką. Miała 2 młodszych braci, lecz tylko ona jedna dostała się do gimnazjum i wciąż miała wrażenie, że z czegoś okradła swoje rodzeństwo. Podobnie jak ja — tamta warszawska dziewczynka nie cieszyła się sympatią koleżanek — cała klasa przez długi czas zaśmiewała się na wspomnienie wizyty w szkole jej matki, małej, nieśmiałej kobiety, otulonej w krasiastą chustkę, jakże kontrastującej z eleganckimi matkami wszystkich koleżanek.

Mimo wszystko zdawała maturo celującą, dzięki czemu przyjęto ją na uniwersytet. Ogromnym zbiorowym wysiłkiem całej rodziny opłacono czesne.

Wkrótce po zrobieniu magisterium udało się jej otrzymać pracę w jednym warszawskim gimnazjum. Były to dwa wspaniałe lata. Ale jak dawniej bolała stara krzywda — nierówność startu życiowego dla dzieci bogatych i biedaków.

Młoda nauczycielka buntowała się kilkakrotnie — odmówiła postawienia lepszego stopnia córkom bogatych kupców czy wysokich urzędników, wojowała z księdzem, namawiającym uczennice do bojkotowania koleżanek-Zydówek.

Ta nieumiejętność przystosowania się do uświęconych tradycji i autorytetem władzy zwyczajów skończyła się jak najgorzej. Straciła pracę i nigdzie innej znaleźć nie mogła. A więc przez trzy lata znowu doręczyła korepetycje, posada guwernantki wielkopolskich dzieci, posada kelnerek...

Dziś jeszcze, po tylu latach, pamiętam każde słowo mego pierwszego rozmowy z Lucyną Ostrowską. Był to moment przełomowy: przestałam być dzieckiem, pokornie godzącym się z istniejącym porządkiem rzeczy. Po raz pierwszy w życiu sformułowałam pytanie:

— Dlaczego tak jest? Dlaczego jedni mają wszystko, a inni nie? Czy świat musi zawsze dzielić się na biednych i bogatych?

Katarzyna Rożen

tego, że nie może to trwać długo. Ta uliczka była o tej porze pusta, ale gdy ją przebiegnie i znajdzie się na łudniejszej, do pościgu mogą się dołączyć przygodni przechodnie. Skrećmy w najbliższą przecznicę za uważny uchyłone od ulicy drzwi w starym, drewnianym domu. Bez namysłu wpadł do wnętrza i stanął oko w oko ze starym Żydem, który dopiero co wniósł dwa wiadra wody i szedł właśnie zamknąć za sobą drzwi. Antek powiedział do niego szeptem, bo nie mógł ze zmęczenia złapać tchu:

— Sciga mnie tajemnik...

Zyd spojrzal na niego szybko, po czym z nieoczekiwaną jak na jego lata żywiołowo chwycił Antka za rękę i pociągnął w głąb mieszkania. Polityczny gwizdek rozległ się już przed domem.

Gdzieś dalej znowu było słychać nowy gwizdek. Na alarm policyjny na zgraja zbiegała się na łowy.

Tymczasem stary Zyd przeprowadził uciekiniera przez jakieś cuchnące, lepkie od błota podworko, wciągnął go znów w jakieś inne mieszkanie, mignęli jej i znaleźli się na innym równie zaśmieciowym jak tamto i lepkiem od błota podworku, przebiegli jakąś niziutką bramą i trafili na uliczkę.

— Idź pan tedy — powiedział tajemnik — znajomy i nim mu Owczarski zdążył podziękować za nieoczekiwaną pomoc, zniknął tajemniczo we wnętrzu tejże bramy, wsiąknął w ciemność i nie pozostało po nim ani śladu.

Nie mógł się w żaden sposób zorientować, w jakiej części Bałut się znajduje. Z daleka słyszał krzyki i coraz bliższe gwizdki. Wiedział, że to tam właśnie go szukano. Poszedł więc w kierunku przeciwnym. Zaułek, którym szedł, był całkowicie ciemny, głuchy i bezludny. Ale oto jego wyłoi i widniejąca ulica. Na niej kilku późniejszych przechodniów. Antek zwałnia kroku, bo zdyszanym pierśmi zaczynało brakować tchu. Gdzieś bardzo daleko posłyszał charakterystyczny odgłos, jaki wydają wstrzymujące bieg tramwaje. To pozwoliło mu zorientować się, gdzie się znajduje.

Co dalej? Iść do tramwaju i wracać cichym przedem na Chojny, czy wrócić i oddać w tajnej drukarni tekst ulotki. Przypomniało mu się, że ma być już jutro rozrzucona po fabrykach, że to początek walki poprzedzającej proces jego kolegów. Zawrócił więc, poszedł inną drogą na uliczkę, gdzie mieściła się drukarnia.

Władysław Drejczak

WACŁAW PALIK

W TRYBIE KAZNODZIEI I BUDZĄCEGO PODZIWI SĄSIADA...



Rys. Szmidi Stefan

PRZY szosie, po której kursuje do Łodzi autobus, leży Dąbrówka Duża, a poza nią za łagodnym wzniesieniem Dąbrówka Mała, wioska o 30 numerach. Ze szczytu wzgórza widać rząd domów tonących w wiśniowych sadach. Dwukilometrowa przestrzeń, jaka nas dzieli od sadyb, złoci się od żyta i bieleje od kwitnących kartofli. Malownicze sioło na uboczu gminy Nieszków. Nie ma tu szkoły, nie ma elektryczności, nie ma świetlic. Ale wioska znana jest w mieście, a nawet w powiecie. Od r. 1949 produkuje w siewach, żniwach i skupie.

W 1950 r. kiedy ogłoszono nagrody za przedterminowe wplacanie podatku gruntowego, Dąbrówka Mała stała do innych wsi konnych posłańców, aby za pożyczki od znajomych i krewnych cała gromada mogła w konkursowym terminie uiszczyć podatek. Milion nagrody obiecywano sobie zainwestować w rozwój życia kulturalnego wsi. Ale milion ominął Dąbrówkę Małą. W losowaniu przypadł innej, również w konkursie zwycięskiej gromadzie. W następnym roku zdobyte radio gra u sołtysa. Nie dlatego, aby je zagarnął, ale gdzie było je założyć, kiedy w wiosce nie ma gromadzkiego lokalu. Społeczne, gospodarcze i kulturalne życie koncentruje się nad szosą, w Dąbrówce Dużej. Tu jest sklep, kuźnia, mleczarnia, przystanek autobusowy, świetlica i wielka szkoła, wzniesiona w ubiegłym roku na wysokość dwóch pięter.

Zazwyczaj małe wioski na skraju gminy najwięcej przysparzają kłopotów radom narodowym. Ich opieka tam nie siega, inwestycje nie dochodzą, agitatorzy nie docierają, toteż i odwrotnie — zapieki takie bywają głośnie na zarządzenia produkcyjne, a jeszcze bardziej na wezwania do wypełnienia obowiązków.

Jakże inną tradycją pochwalić się może Dąbrówka Mała. Toteż w planach Rady stała się pozycja z góry przewidywana jak słoneczko na niebie. Ale jak to często bywa, „co łatwo przychodzi — uważać uchodzi”. Rada Gminna i teraz, po czterdziu sukcesach, nie umiałaby odpowiedzieć, co stanowi motor aktywności Dąbrówki. Nie stawiała sobie takiego pytania. Co więcej, każdy nowy rok utrwalając dobrą reputację Dąbrówki wypierał pytanie o przyczyny. Odpowiedź znajdowano w doświadczeniu.

— Taka już ta Dąbrówka, taka więc i będzie.

Udała się Radzie Gminnej, nie ma co mówić. Ale dlaczego się uda-

ła? Jakże warunki i jakie siły zamieniły zapęceł w przodującą wieś? Jaka jest moc i charakter napędu, który corocznie czynił Dąbrówkę zwycięzcą we współzawodnictwie gromad? Jak długo napęd ten będzie działał samoczynnie i jaka granica jego wytrzymałości? Gdyby Rada Gminna była współtwórcą rozmachu Dąbrówki, miałaby odpowiedź, a przede wszystkim stawiałaby sobie takie pytania. Bo ruch to zmiany. Nie wolno zatem usypiać się faktem corocznych ilościowych zmian, nie badając czy rozwijają się w nich warunki zdolne przekształcić ilość w nową jakość. Gminna Rada w zmianach ilościowych złożyła automatyczną szansę na zmianę jakości. Innymi słowy — od przodującej w skupie gromady do spółdzielni produkcyjnej droga prosta, jak sierpem rzucił. Tak sobie założyła niefrasobliwie, a tymczasem...

Kiedy się mówi o Dąbrówce Małej, wymienia się równocześnie nazwisko Józefa Rogowskiego. Bywa i odwrotnie: Józef Rogowski czyli Dąbrówka Mała. Oto haczyk, jaki polknęła gmina, a ostatnio i Powiatowa Rada.

Rogowski jest średniakiem, największym w swojej wiosce. Od lat reprezentuje ją jako radny. Uznaniem cieszy się obustronnie. On to pobudził Dąbrówkę do współzawodnictwa, on wszystkie akcje gromady organizował. Mówca przedni, działacz ambitny i zapalony, w Radzie Gminnej i Powiatowej cenny doradca. Otrzymał też Krzyż Zasługi w r. 1951 i na laurach nie spoczął. Dąbrówka Mała popisała się w ubiegłym roku, a w bieżącym zobowiązała się przeprowadzić żniwa w sześć dni, choć w tym roku żać będzie bez maszyn, odступując pierwszeństwo innym gromadom.

Dobre wyczucie polityczne dawno już kazaloby Radzie Gminnej zwrócić uwagę na Rogowskiego. Jakiego to typu aktywistę? W czym tkwi siła jego działania, w czym słabość? Nie stał tu i nie stoi problem odchylenia czy dwulicowości. Stary Rogowski w marynarce odświętnej, z krzyżem na piersiach, wyprostowany i uroczysty, to najprawdziwszy z wsi. Gdyby mu żona pozwoliła, taki by się kładł do łóżka. Gdyby nie upały, tak by w polu pracował. Ale w tym portrecie, który oddaje sprawiedliwie szczeroci poczyną Rogowskiego, już się odśladają rąbek tajemnicy i Dąbrówki Małej, i jej głównego, a rzecz trzeba — jedynego działacza.

Są to okolice, w których przed laty biskup Kowalski przeciągał chłopów do kościoła mariawitów. Pleban przestał mieć monopol na kazania. Po oratorstwie podniosło i religijne sięgnęli sami chłopcy. Jest to tradycja, którą wykorzystał Rogowski, zmodifikował ją oczywiście, zaprzął do spraw świeckich. Oczywiście, dobro narodu, oto co stanowiło jego podniosłość kazań. Ale rzecz w tym, że jego przemówienia noszą charakter kazań.

Jest i druga tradycja. Rogowski to największy gospodarz w Dąbrówce. Staje przed gromadą jako sędzia gospodarny, imponujący wielkością gruntu i świetną, przekonującą praktyką. Te dwie tradycje łączą się w jedno światło na samą Dąbrówkę. Wioska nieduża, na uboczu, o tej samej nazwie co Dąbrówka Duża, ale nie jej przysiółek. W tym zaścianku, gdzie siedzi nie traci na wadze, a stanowi jedyną władzę społeczną, i to ludzi zebranych, łatwo ożywić ambitny uraz wobec wielkiej Dąbrówki. Oto padały, jakie naciskał Ro-

gowski. Naciskał je, aby upatrywać gromadę, obudzić i rozwinąć najbardziej społeczne skłonności. Był rygorystą, który od dekretów, zarządzeń i wezwań Rządu Ludowego nie odstępował ani na literę. Patetyczny jego komentarz nie dopuszczał do sprzeciwu i wątpliwości. Stawiał zarządzenie i wzywał do ponadplanu, do przedterminu, do zdobycia uznania i zasług w ukochanej ojczyźnie ludowej. I gromada podejmowała zobowiązania. Sędzia sąsiada dopiła. Sytuację ogarnąć można było w każdej chwili. Tak to Dąbrówka Mała przodowała przez ostatnie 4 lata.

Mało- i średnioludnym zmienić się los zarówno w gospodarce jak też w rodzinie.

Tam, gdzie dorosłych dzieci było pięć-cztery, dziś zaledwie jedno przy rodzicach. Reszta poszła do szkół, do fabryk, na budowy. Nowe życie wzbudziło wdzięczność dla Polski Ludowej i zapaliło do społecznej aktywności. Z tych to źródeł czerpał Rogowski pewność dla praktycznych wyników swoich podniosłych kazań. Był pierwszy, który skupił dobrą wolę gromady, nadal jej kierunek i poprowadził do osiągnięcia i sławy na skalę powiatu.

Był pierwszy i pozostał... jedyny. Na to nie zwróciła uwagi Rada Gminna, choć miały lata. Dlaczego pozostał jedyny? Dlatego, że nie przestał być aktywistą, którego działanie opiera się na autorytecie imponującego sąsiada i wzruszającego kaznodziei. Taki był punkt wyjścia, ale taki kurs trwa już pięć lat. Rogowski — sąsiad i kaznodzieja — zastąpił w małej wiosce tych wszystkich i to wszystko, co politycznie i kulturalnie było w większej wsi w koło partii, w koło ZMP, co gospodarczo rozwijało się w mleczarni, filię GS, w koło mierzowniców, gospodyń wiejskich, co kulturalnie rozwijało się w szkole, świetlicę, ruch amatorski, kursy, pogadanki, czytelnictwo.

Fakt, że Rogowski nie zdał sobie sprawy z takiego biegu rzeczy. Co więcej, sam się przyczynił do tego, że jego osoba stała się plastrum na wszelkie dolegliwości i potrzeby gromady. Duża ambicja kazała mu wciąż przewodzić, tradycje zaś w jakie się wprzął, nie tylko go nie pobudzały do powiększenia aktywu, ale wręcz hamowały. Czuli się wciąż nie zastąpiony i osobiście odpowiedzialny. W niejednym miesiącu gotów był jak ostatnio na 12 dni 8 spędzić w terenie i na konferencjach w powiecie, swego nie żałując, ale w tym trybie pogłębiał rolę i znaczenie imponującego sąsiada, gospodarza indywidualnego, pozycję tą wypierając inne, szersze i głębsze władztwa społeczne, jak ognia kół politycznych i gospodarczych. W trybie kaznodziejskim zastępował ognia życia kulturalno-społecznego w gromadzie.

Czy tak postępując szedł przeciw gromadzie? I tak, i nie.

Nie szedł przeciw jej dawnej, starej tradycji. W jej ramach doprowadził do osiągnięcia, jakie przyniosły Dąbrówce sławę i bezstronny optymizm natchnęły Radę Gminną, a za jej pośrednictwem Powiatową Radę.

Ale kaznodzieja, który zastępuje partię, ZMP, świetlicę, nauczycieli, wzorowy sąsiad, który zastępuje instruktora rolnego, kierownika politycznego POM, przewodniczącego spółdzielni itd., utrzymywał życie gromady na starej, indywidual-

nej bazie i jak ziarno w spichrzu, a w nie w polu — zalewał nie rozwijającego się nowego życia.

W kaznodziejstwie i sąsiedztwie Dąbrówka posuwała się wprzód, ale nie rosła wszędzie, nie rozwijała się umacniała warunków, które mogłyby ją wreszcie pchnąć do przedwzrostu gospodarki rolniej. A Rada Gminna wyliczyła sobie, że po czterech latach przodownictwa gromady indywidualnej pora już na krok zasadniczy. Natężyła ją do takiego wniosku sam Rogowski. W ubiegłym roku proponował, aby wydać dekret o spółdzielniach produkcyjnych, bo chłopci powiadają, że jak będzie ustawa, to baba już gęby nie otworzy i oglądać się na sąsiadów nie będzie trzeba. Wybito mu pomysły z głowy, choć występował jeszcze z poprawką, aby choć jedną zadekretować gromadę na gminę, a wówczas inne pójda do współzawodnictwa. Apostoła i wzorowego sąsiad mniemał, że tym samym trybem pociągnie wioskę do organizacji nowego życia. To był jego błąd polityczny i taktyczny. I wówczas Rada nie umiała spostrzec zagrożenia i pomóc Rogowskiemu, jako działaczowi wybitny i z chłomata kaznodziei i sąsiada, który *primus inter pares* (pierwszy wśród równych mu).

W tym roku Rogowski wystąpił w powiecie z apelem, aby rozpatrywano zagadnienie spółdzielczości produkcyjnej na zebraniach gminnych i oczywiście wystąpił z wezwaniem do współzawodnictwa. Nie był Rogowski. Rada Gminna wycofała więc wniosek: Dąbrówka Mała dojrzała — będzie nowa spółdzielnia!

Rogowski był tej samej dobrej myśli. Przed miesiącem uroczysty, podniosły (tychmalowo) z orderem, w wytkochowanej koszuli, wezwał gromadę — po staremu — kaznodzieja i wzorowy sąsiad — do nowego życia. Do dziś na liście zebranych dwa podpisy — swój własny i Darnowskiej, małorolnej (1,6 ha), która pracuje aktywnie w Komitecie Rodzicielskim w Dąbrówce Dużej.

Rogowski jest zdumiony i zaskoczony. Rada Gminna też niewiele z tego rozumie. Pewnie tam mówią — odmienną się fortuna losu — i drapią się w rozum. Może się do drapią.

Rogowskiego oglądaliśmy kilka dni temu. Prostał swą postać, znów uroczysty i podniosły, bo osiągnął nowy sukces. Jednego dnia zebrał 16 podpisów na członków koła TPP-R. Chwali się tym osiągnięciem, ale nie bardzo jeszcze pojmuje jego wymowę.

Przebieg to pierwsze koło w Dąbrówce Małej, pierwsze ze wszystkich możliwych i istniejących na wsiach. Pierwsza w ogóle organizacja.

Rogowski pyta, dlaczego tak chętni i tak wielu do koła Przyjaźni Polsko - Radzieckiej, a dlaczego tak mało do spółdzielni?

Dlatego, Kolego, że w Dąbrówce Małej są warunki i są objawy wyraźne do stworzenia nowego życia. Ale przygotowywać rewolucję należało prawidłowo, przez rozwój organizacji i przez wychowanie kadr aktywistów. To pierwsze koło, które wybuchło jednego dnia, niechże dla Was będzie wskazówką, jak trzeba odrabiać zaległości, jak należy nie mieć czasu wyrównać, w którym kaznodziejstwo i sąsiedztwo zahamowało rozwój mostów oraz powstanie organizacji, ogromadających się wokół partii i rady.

Wacław Palik

JAKUB LITWIN

O władzy człowieka nad przyrodą (I)

Rozpatrując wpływ środowiska geograficznego na bieg życia społecznego, nie można oczywiście pominąć faktu, że jego rola maleje wraz z rozwojem i wzrostem produkcji społecznej. Społeczeństwo jest oczywiście bardziej zależne od środowiska geograficznego — gdy naradza i umiędzynosi produkcję, którym rozporządza, są prymitywne i mało wydajne; tym bardziej musi się zadowalać tym, czego dostarcza mu najbliższe otoczenie geograficzne. Z drugiej zaś strony jest tym mniej zależne od jego bezpośrednich dostaw, im bardziej rozwiniętymi narzędziami i umiejętnościami dysponuje. Można nawet powiedzieć, że rozwój społeczeństwa pod względem produkcyjno-gospodarczym oznacza (i jest mu równoważny!) wzrost samodzielnosti społeczeństwa w stosunku do naturalnego otoczenia oraz podporządkowanie społeczeństwu praw i sił przyrody. Wiadomo np., że początkowo w okresie słabego rozwoju linii komunikacyjnych, przede wszystkim zaś kolei żelaznych — przemysł, szczególnie włókienniczy, skupiał się wokół centrów surowcowych, przede wszystkim centrów węglowych; później, gdy linie kolejowe rozwinęły się, przemysł wyrastał również z dala od centrów węglowych, objęci terenem pod innymi względami dogodnymi dla rozwoju przemysłu (rozwoj dróg komunikacyjnych przyczynił się między innymi do rozwoju Łodzi i Białegostoku). Można też przytoczyć fakt o glebszym i bardziej ogólnym znaczeniu. Nie trudno zauważyć, że wzrost sił produkcyjnych społeczeństwa oraz jego usamodzielnienie się od bezpośredniej zależności od otoczenia geograficznego — pozwoliły na rozwinięcie się cywilizacji na obszarze całego globu ziemskiego i objęcie nawet takich terenów, które na niższych szczeblach rozwoju historycznego były w mniejszej lub większej mierze niedostępne dla człowieka.

Równocześnie wzrost produkcji nie tylko wyzwalał społeczeństwo od otoczenia geograficznego, ale także rozszerzał, pogłębiał, wzbogacał zakres środowiska naturalnego, z którego korzystał człowiek. Nasuwa się twierdzenie, że im bardziej samodzielne było społeczeństwo, tym różnorodniejsza, tym bogatsza ilościowo i jakościowo stawała się przyroda dla społeczeństwa. Im bardziej usamodzielniał się człowiek w stosunku do przyrody, tym głębiej mógł w nią wnikać i tym więcej nawiązywał z nią stosunki.

Zatem rozwój produkcji dawał człowiekowi coraz większą władzę nad przyrodą, nad otoczeniem naturalnym, nad siłami przyrody.

Rozpatrując jednak wpływ środowiska naturalnego, nie można oczywiście ograniczyć się do analizy wzajemnego stosunku środowiska geograficznego i sił wytwórczych. Trzeba także uwzględnić, jaką rolę odgrywa w tym wypadku baza ekonomiczna. Trzeba najprzód stwierdzić, że stosunki ekonomiczne nie mogą oddziaływać bezpośrednio na rozwój produkcji, lecz pośrednio, poprzez oddziaływanie na rozwój sił wytwórczych. Człowiek pośredniczącym są tu zawsze siły wytwórcze. Tylko przy ich pomocy środowisko geograficzne oddziaływa na bazę i na odwrot. Przy tym rola stosunków ekonomicznych w odniesieniu do warunków geograficznych w najogólniejszej postaci sprowadza się do dwóch tendencji: przyspieszając rozwój sił wytwórczych — tym samym przyspiesza on proces produkcyjny wykorzystywany przez społeczeństwo praw i sił przyrody; opóźniając zaś ich rozwój — tym samym opóźnia ona

Jakub Litwin

HENRYK WORCELL

OSTATNIE PRZYGOTOWANIA*)

Zdążyć Dolne mają już 50 wypowiedzi, już 55, już zbiorą jeszcze 10 i jeszcze, i jeszcze — gromada musi zająć pierwsze miejsce w powiecie. Idę od domu do domu, odwiedzam każdego konkursistę osobno, nalegam, nie odstępuję do póki nie weźmie pióra do ręki i nie zacznie medytować nad kartką papieru. Są absolwenci kursu dla alfabetów tacy jak: Boruta, Gozdawa, Tałaleka, którzy z trudem gryzmolą. Tym mówię: piszcie krótko, dlaczego się wam książka podobala, co w niej dla was najważniejsze. Więc piszą: Nie mam szkoły tylko kurs, nauczyłem się pisać za Polski Ludowej...

Są jednak tacy, do których muszę zachodzić po siedem-osiem razy. Gorczakowski wyraźnie mnie unika, a młody plekarz Smoliński, gdy przyjdę do niego, udaje strasznie zaferowanego; gospodarz Dudziński też nie ma czasu.

Tu i ówdzie przychwytyuję na twarzach złośliwe uśmiechy, domyślam się, co one znaczą, więc rezygnuję z niektórych wypowiedzi; bo gdybym nawet wydebił się od tych zadowolonych, nie przedstawiałyby one żadnej wartości, byłoby jak fałszywy banknot lub deklaracja przemowa b. sekretarza PRN Hryńczuka.

W ostatnich dniach lutego, równoległe z końcowym etapem pracy w gromadach, w powiatowym za-

radzie ZSCh pracowano gorączkowo nad oceną nadsyłanych z terenu wypowiedzi. Jako członek komisji spędziłem tam dwa dni.

Ocena odbywała się wspólnie przy 3 lub 4 członkach komisji. Jeden czytał na głos, po czym zastanawiano się, czy dana wypowiedź zaklasyfikować jako dobrą, bardzo dobrą, czy słabą. Nie zawsze było to łatwe do rozstrzygnięcia. Oto np. z gromady Wilów grupa 23 ZMP-owców nadesłała jednakowe wypowiedzi na temat „Janka Muzykanta”. Były one bardzo ogólnikowe, stwierdzające tylko, że w ustrój Polski Ludowej tragedia Janka nie mogłaby zaistnieć. Byłem za tym, ażeby wypowiedź tę zaklasyfikować jako słabą. Kol. Balicka sprzeciwiła się temu.

A jeżeli chłopcy wspólnie książkę czytali, jeżeli nad nią dyskutowali? Przecież to zespół, a praca zespołowa ma wielką wartość, zdobywa od razu, podnosi całą grupę.

Z trudem dodzwoniła się Wito-wa do nauczyciela i kierownika tamtejszego zespołu, który powiadał, że chłopcy rzeczywiście wspólnie czytali i wspólnie uzgodnili wypowiedź. A widzieli — nie miał szturchnąć mnie palcem Balicka — należało się im dobry stopień.

Alle już stanowczo nie zgodziłem się na dobry stopień dla ośmiu pra-

cowników GRN w Żelaznej Wodzie. Było to już adto widoczne, że ci panowie ułatwili sobie pracę, bo wszędzie dali identyczną i jednakową mierną wypowiedź na temat „Opowieści o prawdziwym człowieku”. Nawet nie potrafili gościć, by ją własnoręcznie napisać — po prostu zrobili to specjalnie do tej funkcji powołany przez nich referent. Słabo panowie! To jest żur. Ipa. Czy aby nie tak samo piszecie sprawa wożenia z pracy na powierzonych wam ościnakach?

Natomiast z prawdziwą satysfakcją czytaliśmy i ocenialiśmy wypowiedzi ze spółdzielni produkcyjnej Bukowiec. Każda była inna, pisana nieudolnie i nieskładnie, z widocznym wysiłkiem, ale w każdej była prawda. W wypowiedziach tych nie było znać wpływu pracy kierownika zespołu, jak np. mojego wpływu na wypowiedziach zdąrzyckich — przeto stanowczo miały większą wartość niż wypowiedzi zdąrzyckie.

Uwaga! — mówi do mnie Balicka — Zdąrzyce Dolne, będziecie się bić z Borkiem o pierwsze miejsce. Macie 66 wypowiedzi, Borek ma 62.

Zebrałem resztę wypowiedzi — było ich razem 80 — i odesłałem do zarządu powiatowego ZSCh — teraz grupowi ze swymi zespołami czekali na zapowiedziany zjazd przodowników czytelnictwa i otrzymali nagród.

Tymczasem w Zdąrzycach Dolnych i Górnych działo się to i owo. Ruszyły roboty polne, stary Dobraniecki wypuszczał z GOM maszyny, pykał fajeczkę i mrugał oczami z zadowolenia — a w tym samym czasie młody gdzieś tam pod Dzięwanowem rozpoczynał wiosenną kampanię w państwowym ośrodku maszynowym. Zarówno stary jak i młody Dobraniecki wierzą w zwycięstwo socjalizmu i doskonale zdają sobie sprawę, że ich ośrodki maszynowe są zarodkami socjalistycznej przyszłości powiatu dziełnowoskiego. To właśnie stary podkreślił w swej wypowiedzi na temat książki W. Zalewskiego „Traktory zdobywają wiosnę”.

12 kwietnia w niedzielne popołudnie zebrała się u mnie grupka ludzi. Najpierw przyszedł Boruta na partię warcab. Wkrótce po nim nadszedł Mitrega i pokazał nam list z „Chłopskiej Drogi”, w którym zawiadomiono go, że redakcja „i” interweniuje w sprawie sołtysa Pietrzyckiego i prosi o nadsyłanie dalszych wiadomości z terenu.

To znaczy, że ktoś tu nareszcie przyjeżdża — mówił Mitrega z ciekawością — a wtedy Grządka ani Modliński prawdy nie schowają — i zaczął opowiadać, co nowego zaszło w Zdąrzycach Górnych. Pietrzycki znowu zadziera nosa z początku biegł jak kot z pęcherzem u ogona, pewnie już opłaty za tegoroczne dzierżawy uiszczył. Być może, że i za ubiegłą latą zapłacił, ale to się da stwierdzić w kwitowaniu gminnych, tam dat nie będą fałszować. Podobno naciskał Brad-

ka o zwrot tej części pieniędzy za sprzedaną dachówkę, „ja sam nie będę wszystkiego płacił” — tak się miał wyrazić do leśniczego. A Pietrzyka na więcej nadziei pokłada w przewodniczącym Szysze, mówiła do nauczycielki Jasińskiej, że Szysza nie dopuści do tego, by jej męża opuścił owano w gacie.

Zjawił się trzeci gość: Szymański — ten sam, który z taką pasją wyrażał się o delegacie z Rady Ministrów. Młody, niedawno ożeniony, prowadził gospodarstwo wspólnie z ojcem, dzieląc zabudowania z dwoma jeszcze gospodarzami: Kajmerem i Nadziarem. Dolna szczyłka za bardzo wysunięta do przodu czyniła go starszym niż był w istocie i śmiesznie ujmującym, gdy się uśmiechał. Przynam się, że nie doceniałem tego człowieka.

Przeczytawszy list Mitregi machnął ręką. Jeżeli województwo przekazuje sprawę Powiatowej Radzie, to z tego wszystkiego będą nicy. Tu musi przyjechać ktoś z województwa, zwołać zebranie i dopiero na zebraniu wygarnąć wszystko. Ja się nie boję, ja pierwszy będę gadał. Dziewięćdziesiąt pięć hektarów w dzierżawie! Wiecie, co to jest? Prawie sto hektarów, to przecie majątek! I od tych hektarów ani jeden metr zboża nie idzie dla państwa, dla robotnika, a należałoby się około 200 metrów rocznie. Ja wiem, taki Justek czy Maślak gadają, że oni tej nadwyżki sami nie zjedzą. Pewnie, że nie zjedzą, ale sprzedają po cenie paskowej albo

ześrutują pszenicę dla świń jak u Posiadły albo Kajmera.

Umilkł, poszedł do okna i chwilę przysiadł się ludziom idącym na nieszpory.

— Skurczybyki — mruknął Szymański jakby sam do siebie. — Kto, co takiego? — zdziwił się Boruta. — A bo narzekają dranie, że bieda, że podatki ciśną, a popatrzyć to chodzą jak burzują: nylony, jeawabie, kapelusze, oficerki... Kto się tak przed wojną na wsi ubierał? A narzekają. Hej! Modera, Lichoń! — krzyknął uchylając okna. — Chodźcie tu na chwilę.

A do mnie mruknął okiem porozumiewawczo:

— Oni już deklaracje mają i ja też mam w domu. „ak dobrze pójdzie, to na jesieni zbierze się nas z piętnastu i spółdzielnia będzie. Byłem zaskoczony. Dobrze, ale czemu wy o tym tak tajemniczo, skrycie? Pierwszy raz słyszę, że właśnie wy...”

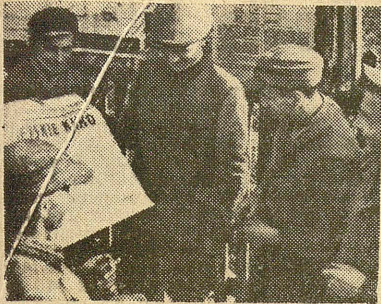
— Hi, hi... — zaśmiał się i może chciał coś wyjaśnić, ale przeskoczył mi Modera i Lichoń, którzy zapukali do drzwi. A Lichoń z miejsca do mnie:

— Panie, no i jak to z tym konkursem? Skoczył się, a ty jakoś nic. A ja czytałem i żona czytała...

— Będzie, będzie... — uspokoiłem go. — Będzie zjazd powiatowy i nagrody i jeszcze będzie pan musiał przemawiać.

— No to i będzie, a co pan myślał, że nie?

*) Część 8 pamiętnika pt. „Dzieje III etapu Konkursu Czytelnictwa w Zdąrzycach Dolnych”.



Czy w pełni wykorzystana broń?

Posłuchajmy co o „współpracy” z gospodarzami terenu — radami narodowymi — piszą kierownicy kin wiejskich.

„Ani prezydium Gminnej Rady Narodowej, ani ZSCh w ogóle nie interesują się działalnością kina, ani też nie przychodzi z pomocą” (Chwalczewo, woj. wrocławskie).

„Warunki lokalowe mamy takie, że gdy deszcz, publiczność opuszcza widownię, bo dach dziurawy, a gdy pogoda i ciepło publiczność też wychodzi, bo duszno, brak wentylacji” (Pienisk — woj. wrocławskie).

Co na to GRN? „Wymawia się tym, że nie posiada funduszy na remont i zabezpieczenie budynku” (kino stałe w Starej Kamienicy, woj. wrocławskie).

„Niby dlaczego my mamy kinom pomagać?” — odpowiada ZSCh na prośbę o opał dla kina w Szczecinku (pow. Wałbrzych).

„Przy obydwo prezydiach (MRN i GRN) istnieje komisja KO, w ich planach pracy nie ma naszego kina, nie powiadomiono kierownika kina o żadnym posiedzeniu” (Prochowice pow. Legnica).

„Czy na prezydium GRN o naszym kinie dyskutowano, nie wiem, ale zdaje się, że nie, bo nikt się do mnie w tej sprawie nie zwracał” — (Szczawienko, pow. Wałbrzych).

Fakty te dowodzą, że GRN i organizacje masowe wyłączały się z współpracy ze sztabem rewolucji kulturalnej w terenie. Prezydium GRN nie omawiają, nie tylko spraw finansowo-gospodarczych i potrzeb technicznych lokalowych kin, ale nie wysuwają żadnych postulatów pod adresem OZK w zakresie odpowiedniego repertuaru filmów — o tym piszą wszyscy wymienieni kierownicy kin. A przecież potrzeby terenu są różne. GRN znają swój teren, jego potrzeby i trudności, odpowiednio dobrany film mógłby w wielu wypadkach stać się skuteczną bronią w walce o nowe życie.

„Ale kiedy rady narodowe zaniebują całkowicie opieką nad kinami, nie dziwne, że w tym gorącym okresie znikły z ekranów kin wiejskich takie filmy jak: „Wesoły Jarmark”, „Gromada”, „Kawaler złoty gwiazdy”, „Wolna ziemia”, „Światła w Kordii”, „Bogaty pion”.

Jest to zupełna rezygnacja ze środków masowej agitacji politycznej i gospodarczej, wypuszczenie z ręki potężnej broni w tym okresie tak ważnym dla wsi.

Z Sz.

MŁODZIEŻ

Rypin głuchy i ślepy

W IES Kluśno (w powiecie rypińskim) liczy sto gospodarstw — przeważnie mało i średnioludnych. Już w 1949 roku powstało tam koło ZMP. Jego założycielami była młodzież w liczbie 48 osób.

Ostatnio ZMP bardzo się rozrosło; oddziaływa ono mocno na całe życie wsi. Dzięki jego pracy Kluśno jest przodującą w gminie Osiek gromadą w realizacji obowiązkowych dostaw zboża, ziemniaków, mleka, żywności. Produkuje także w splotach prądu prądowego i kontraktacji. Na rok bieżący kontraktacja osiągnęła w Kluśnie 125 proc.

Istnieje w Kluśnie — prócz ZMP — również TPPR i LZS, który skupia mieszkańców wsi do lat 35.

Obecnie zetempowcy zapoznają mieszkańców wsi ze statutami spółdzielni produkcyjnych. Poza tym — czytają i dyskutują. Zetempowcy poznali już takie książki, jak Ostrowskiego „Jak hartowała się stal”, Ażajewa „Daleko od Moskwy”, Szolochowa „Cichy Don”, Fuczkę „Gdzie jutro jest już dniem wczorajszym”, oraz kilka rozpraw Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina.

O czymże świadczą list zetempowca M. Krajnika z Kluśna? O tym, że młodzież wciąga do pracy społecznej starszych, bada podstawy przebudowy ustroju rolnego, poznaje wartościowe książki, pomaga gromadzie wysunąć się na przodujące miejsce pod względem wykonania obowiązków wobec państwa. A czyni to — jak dowiadujemy się z listu Krajnika — w warunkach trudnych. Nie interesują się bowiem pracą ZMP i LZS w Kluśnie ani zarząd powiatowy ZMP, ani PKKK, ani LZS w Rypinie. Nawet Okręgowy Zarząd Kln w Bydgoszczy zbywa kierowane doń wołania — głuchym milczeniem; a to jest wołanie o II część „Upadku Berlina”.

Od dwóch lat zarząd powiatowy ZMP obiecuje zaopatrzyć koło w Kluśnie w sprzęt świetlicowy. Na obietnicach poprzestaje.

Kiedy więc młodzież gromady Kluśno pokonuje ogromne trudności: uczy się, uświadamia wieś, walczy o jej lepsze jutro — organizacje i instytucje powołane do okazania tej młodzieży pomocy, przysyłając jej wysiłkiem — myśląc, co by tu jeszcze Kluśno obiecać!... obietnicy nie dotrzymać.

Polityka ta pożałowania godna...

S. Z.

Wśród Korespondencji

Czytelnictwo w polu walki

Przygotowuje się już IV etap konkursu czytelniczego. Radio i prasa szeroko propagują czytelnictwo na wsi. Niespotykane w warunkach przedwojennych, nakłady czekają na masowego czytelnika. Zdawałoby się, że wszystko przebiega w myśl hasła, przy pisaniu których dziennikarze i działacze oświatowi zużyli litry atramentu. A mianowicie, że zrozumienie potrzeby książki na wsi, dobrej i pozytywnej, wychowującej i pięknej, do-tarło do wszystkich, że chodzi tylko o pogłębienie tego procesu.

A tymczasem ten proces jest trudniejszy i bardziej skomplikowany. I czytelnictwo bowiem rozwijamy w walce z wrogiem i z przesadami.

Jak się mają sprawy np. w Placach w pow. zielonogórskim? Tam jest biblioteka. A przecież do ruchu czytelników należy dopiero o-kolo 50 proc. mieszkańców. Co gorzej, wielu mieszkańców korzysta z prywatnych księżek, należących do tzw. literatury brukowej i sensacyjnej i wypożycza je często za opłatą, mimo istnienia księgozbioru wartościowych księżek w Gminnej Bibliotece!

O czym to mówić! O walce gustów, która wyraża walkę klas i sygnalizuje ją. I rzecz ciekawa, takie fakty nie interesują Rady Narodowej w Placach, nie uyciąga ona z nich wniosków nawet dla pracy gospodarczej — kontraktacji, skupu.

Za zasłoną przeszłości

Jestem rodakiem ziemi tarnobrzkiej, rodakiem Stefana Gębali, o którym dowiedziałem się ze „Wsi”, że napisał powieść o ruchu ludowym w naszych stronach nad Wisłą i Sanem. Czytałem we „Wsi” fragment pt. „Wianuszek z centurii” i serce moje społa radość. Bo każdy z czytelników zawsze się wzruszy, kiedy książka choćby tylko zawiązała o jego okolicy. A my tu nad Sanem mamy szczególny powód cieszyć się powieścią o naszych dziejach. — Któż bo ją napisał? Biedniak z pochodzenia, działacz ludowy, partyzant, który stracił wzrok od wybuchu prochu, aktywista, który w swojej wsi Zabnie wraz z kierowniczką przedszkola Teresą Kucią, zorganizował spółdzielnię produkcyjną.

Po drugie — jak ukazują naszą przeszłość? Z przecięzanego fragmentu widać, że Gębala potrafił się dobrać do skóry ludowcowi kadzichopom. Potrafił pokazać, że 50 lat temu, tacy przywódcy ludowi, jak Wójcik to byli machery na czterech nogach, w interesach ekonomicznych, Niby w imieniu chłopów a naprawdę kontakty z galicyjskim starostą potrzebne im było do tranzakcji handlowych. Lasy na wyręb, tartaki, dostawy, cegielnie, oto na czym rośli, szwabie chłopów, nai-grywając się niejako z tytułu przywódcy ludowego. Pierwsi to byli zdraycy, kupowani przez rząd austriacki, urzędników — łapówkarzy i obszarników. Agenci to byli burżua-zy i ziemiaństwa. Trzeba wreszcie zdręczyć złudzenia, jakie starzy chłopci nieraz jeszcze mają, wspominając dawne dzieje.

Ta korupcja sięgała przecież po- wyżej gminnych i powiatowych wo-

Krótko mówiąc, wobec objawów sta- tego w życiu kulturalnym gminy, wobec walczącego oświaty i zaco- jania przechozi obójtnie.

Ale kiedy pojawia się wymowne fakty nowego, wówczas dzieje się niezadko tak, jak to przydarzyło się spółdzielni produkcyjnej w Po- łowie. Nowopowstały zespół pod- pisał umowę z delegatem Domu Książki na zakup biblioteczki do spółdzielni na sumę 1500 zł. Wyda- tek ów oceniono w Radzie Powia- towej w Sławnie nieprzychylnie, krzywo patrząc na taki „lüks”. Nowa spółdzielnia od książek zaczy- na — nie od gospodarki? Darujmy już sprawę, że to Wydział Oświaty i Kultury w PRN-ie winien był wykupować nową spółdzielnię w bibliotece, a przynajmniej być inspi- ratorem jej założenia. Pozostanie i tak zarzut najostrejszy. Nawet w Radach Powiatowych bywa, że patrzy się na czytającego chłopca tak, jak patrzyło na niego przed wojną kiedy wóżył lakerki albo zapalił cygaro zagraniczne. Cóż można po- wiedzieć o takich przedstawicielach Rady, którzy sądzą, że książka to luksus, to rarytas, to odwieczne ubranie? A to, że biorą udział w walce klasowej, wspomagając zaco- fanie. Nie jest więc czytelnictwo na wsi sprawą prostą, nie dotarło do wszystkich i nie tylko o pogłę- bianie tego procesu idzie.

H. Z.

dzirejów. W niejednych już artyku- łach i broszurach stawiano pytanie: skąd brać pieniądze ks. Stoj- łowski na swoją robotę, skąd Stapi- Ński, skąd Witos? Czy to po I woj- nie nie gadało się o jego handlach skórami podczas wojny?

W Tarnobrzegu tacy nasi „cnotli- wi” ludowcy wystawili przed laty pomnik Bartosza Głowackiego, aby naród wiejski miał swojego święte- go i chwalił tych, co w jego cieniu interesy i zdradę z obszarnikami i plebanją uprawiali.

Jakże biedna była w tych czasach moja wioska Kaczaki, położona wśród pól i łąk. Nedza szalała w tych okolicach, obszarnicy mo- gli przebiegać jak w uległach przy przyjmowaniu na folwark. A mieli- śmy tu żubrów — jasne panów. Słynnego ze zdrady narodu, wyzysku chłopów i kradzieży dzieł kultury polskiej — hr. Tarnowskiego w Dzi- kowie. Dziedzica R. Gniędzwałda i Dolńskiego, który usadowił się w piękny zamek, zwanym „Białym Wawelem” w Baranowie nad Wisłą. Od południa A. Kozłowski. Powi- at nasz jęczał w niewoli tych re- kinów, którzy mieli chłopów wcią- zać swego niewolnika. Byli też wielkie majątki kościelne. Głód, niedza i spo- niewieranie gnały stad ludzi za ocean, na Saksy, na flis, na dziką wędrow- kę po kraju. Jeszcze przed wojną pamiętam — endecy przenieśli „Wielkopolską”, bogaci ludowcy — „Piasta” a biedoci zostawiano modlitewnik. Dobrze więc, że Gębala pisze o tych kłopotach dawnych a jeszcze będzie lepiej, kiedy i walkę pokaze dołowych mas chłopskich, o- czym mu w tym liście przypominam.

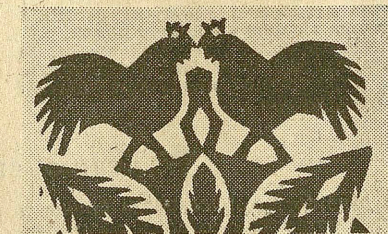
Kazimierz Pasek

SZTUKA LUDOWA

Przyszłość i współczesność

JESZCZE tylko 3 miesiące do zamknięcia konkursu dla twór- ców ludowych. Konkurs podaje cztery zakresy tematyczne, od au- torów prac, zależy wybór. Mogą tu być dwa zasadnicze rozwiązania: pierwszy — to ukazywanie prze- szłości, historii ludzi pracy na wsi i drugi — to artystyczne oddanie rzeczywistości otaczającej twórców ludowych. Helena Roy — Kozłow- ska, malarka na szkło w Zakopan- sku, wybrała tematycznie historię o- brazy rewolucyjnej tradycji Podhala, pasjonującej wielu pika- rzy i malarzy zawodowych. Siega do ruchów chłopskich na Podhalu, a więc do Powstania Chochołowskiego i powstania Kostki Napier- skiego, aby wydobyc z nich to, co było w nich najistotniejsze — walkę chłopów podhalańskich ucis- kanego przez „nową feudalność”.

Ala czy porachunków z przeszło- cią artyści ludowi nie powinni zamknąć mocnym akcentem współczesnego życia? Podhale, które znalazło w dolinach pracę w nowych kombinatach, które roz- budowuje spółdzielczość produk- cyjną — jest terenem zasługującym w pełni na obrazy artystyczne, przed- stawiające wielkość dokonują- cych się przemian. Dlatego, jeżeli literatura i legendy były bodźca- mi, które skłoniły malarke do po- kazania rewolucyjnej tradycji prze- szłości — o ileż silniejszych bodź- ców dostarczyć może współczesne życie Podhala. Zwiędzający wysta-



ucie sztuki ludowej na dziesięciole- cie Polski Ludowej powinni urzecz również obrazy ukazujące nową wieś podhalańską.

B. L.

Technika jest a ludzie?

L EON Dudek, ludowy artysta- rzeźbiarz z Włoszakowic, dla swojej pracy konkursowej wybrał temat wsiołotyczny. Rozumie on, że nie może być żywej sztuki ludowej bez powiązania jej z prze- mianami ustrojowymi, jakie w Pol- sce zachodzą. Siega więc do naj- ważniejszego ognia — do uprze- mysłowienia gospodarki rolnej. W pracy konkursowej pragnie przed- stawić starego chłopca, pochylonego pod ciężarem plachty z siewnym ziarnem. Na tym samym polu tru- dzi się jego synek, który, zamiast iść do szkoły musi bronić pole drewnianą sochą zaprzężoną w dwie krowy. Obok tego rzeźbę kontrastową stanowi młody chłop- siewnik — wyraz przemiany i poste- pu, jaki się w Polsce dokonuje. Te- maty te, jak informuje nas arty- sta, wypływają z obserwacji co- dziennego życia, z porównywania warunków obecnych i minionych. Ale traktor i siewnik, które mają być symbolem przemian społecz- nych — to tylko eksponaty przemy- słowej techniki. Z pola widzenia artysty znika człowiek, któremu

ŚWIETLICE



Po Uchwale Świetlicowej

Od Uchwale Świetlicowej, po- wziętej 28 maja na Zjeździe Kierowników Świetlic, upłynę- ło już dwa miesiące.

Czy i w jakim stopniu świetlice realizują Uchwałę dla szybkiego przezwyciężenia braków i ulepszenia pracy? Na to pytanie odpowiedź dać mogłaby dopiero masowa an- kieta. W tej nocy ograniczymy się do oceny jednej świetlicy — w Slo- cinie (pow. N. Tomys).

Niechże jej przykład posłuży in- nym świetlicom za wzór.

W Slocinie praca kulturalna szeroko jest rozwinięta. Świetlica (pod kierownictwem Czesława Gozel- nego) obejmuje: zespół teatralny, pieśnarski, czytelniczy, wiedzy rol- niczej i redakcję gazetki. W połowie czerwca urządzono wielką naradę przy udziale przewodniczącego GRN i działaczy masowych organizacji.

Zespół świetlicowy przeprowadził samokrytykę swojej pracy. Jakie po- pełnił główne błędy? 1) oddzielił sprawy polityczne i gospodarcze od kulturalno — oświatowych, dlatego 2) nie wykorzystał w pracy szerokiego aktywu, dlatego 3) mało wpływał na życie gminy i mało udziału pomocy świetlicom gromadzkim.

Co więc uczynić aby jak najszy- biej związać działalność świetlicy z aktualnymi, politycznymi i gos- podarczymi problemami gminy?

Zespół postanowił przewodniczą- cemu GRN pytanie — jakie Rada Gminna podejmuje zobowiązanie na najbliższy okres kampanii żniwnej? Zobowiązanie okazało się — jak to mówią, nie w kimś dmuchał: gmina zamierza osiągnąć w powiecie pier- wzeństwo w żniwach, omlotach, skupie i kontraktacji. Wobec tego świetlica gminna zgłosiła niemniej potężny plan pomocy.

Jeszcze w okresie przedżniwnym: 1) urządzić wycieczkę chłopów do spółdzielni produkcyjnej, aby przy zbieraniu pługów mogli sobie chło- pi uprzytomnić różnicę między ro-

W. P.



Kierunek na gromady

W Starym Sączu zmieniło się wiele. Kolejarze, drobni rzemieślnicy i robotnicy pozba- wieni byli rozrywki kulturalnej. Zetempowcy pierwsi po wyzwoleniu zorganizowali zespół teatralny. Kiedy w roku 1952 powstała świetlica Związku Zawodowego Kolejarzy — zespół teatralny znalazł w niej praw- dziwego przyjaciela. Pod kierownictwem Karwoty i Lencowskiego przystąpiono do systematycznej pracy. Zagrano sztuki „W rodzinnym domu”, „Moralność pani Dulskiej”, „Przyjmujemy o 8.30”. Przyjęte zo- stały przez publiczność gorąco. Sie- gnęto do repertuaru ludowego. Po- stanowiono zagrać widowisko „Za- łoty góralskie”. Trudności były duże, bo należało popracować nad śpie- wem, tańcami i muzyką. Ze śpie-

wem i tańcami dano sobie radę, go- rzej było z doбором i utworzeniem zespołu muzycznego do sztuki. Mie- scowi muzycy albo odmawiali u- działu albo żądali zapłaty. Kiedy wreszcie skompletowano zespół — zabrakła pianistki. Miejsceowe za przykładem kolegów odmawiali. Jak można proponować im coś podobne- go i to za darmo! Wiemy z doświadcze- nia, kto w mieszkaniach typu Stare- go Sącza kształcił dziewczęta w grze na fortepianie. Bogaty rzemieślnik, aptekarz, adwokat, ludzie nieśladyjący bogatą burżuazję, posiadający z nią wież jeśli nie materialną to duchow- ą. Nic więc dziwnego, że drażnił ich zespół teatru robotniczego. Była to swoista demonstracja przeciw się- gającej po dobra kulturalne klasie robotniczej. Wreszcie zgłosiła się, obarczona liczną rodziną, ob. Chmu- rowa Wanda i „Złoty góralskie” weszły na scenę świetlicową. Akto- rzy, rekrutujący się z robotników, a przeważnie z robotników kolejow- ych, pokazali co potrafili.

Z „Złotami góralskimi” zespół wyjeżdża w miesiącach letnich do Krynicy i Muszyny, od września zaś ma być podzielony na dwie brygady, z których jedna będzie grała, druga zaś w tym czasie ma przygotować nową sztukę. Świadczy to z jednej strony o tym, że zespół teatralny za- mierzają wprowadzić ciągłość w pra- cy, z drugiej zaś, że Stary Sącz i okolica odczuwają prawdziwą po- trebę teatru. Szkoda tylko, że kie- rownictwo zespołu stawia się wy- łącznie na widów miejskich, zapo- minając o towarzysząc na wsi. Za- miasz wyjeżdżać do Krynicy, uczy- niłoby słuszniej, gdyby zespół dał przedstawienia w gromadach, w spółdzielniach produkcyjnych lub w PGR. Wszak teatry świetlicowe są powołane po to, by krzewić kulturę teatralną tam, gdzie nie dojdzie inny teatr, Krynica zaś i Muszyna nie znajdują się pod tym względem w najgorszych warunkach. Uchwały I Zjazdu Kierowników Świetlic w Warszawie nie dotarły prawdopodobnie do Starego Sącza.

B. L.

Teofil Kowalczyk



POLITYKA

Prawda o wrogu

Czytałem niedawno książkę pt. „Droga Wojny”. Historia na- szego narodu i samo życie po- kazano nam i pokazuje drogę wojny jako jedyny cel imperializmu. Chcąc skutecznie walczyć ze złem i zwy- cieżać wroga trzeba znać jego me- tody. Te metody ukazują omawiana książka. Czytając ją przebiegam wspomnieniami moje życie. Sporo bowiem dało mi doświadczeń co do metod politycznych wroga.

Znalazłem się za okupacji w sze- regach organizacji podziemnej pn. „Polska Niepodległa”, (później wta- czona w A.K.) Miałem możliwość sam widzieć fakty mówiące o tym, czym było dowództwo AK i do czego zmie- rzalo. Ja już z chwilą uderzenia hitlerowców na Związek Radziecki byłem pewny, że hitlerowcy podpi- sali w tym dniu swój wyrok.

W tym dniu już przegrał wojnę. A co robiła u nas zdrada narodo- wa? Pamiętam rok 1944 Przed po- wstaniem warszawskim. Do wsi Dziekanów-Polski pow. warszawski przybyły trzy szwadrony kawalerii ni- by polskiej. Trzy szwadrony idące u boku hitlerowców i karmione przez hitlerowców. Śpiewali „Kiedy ranne wstają zorze”, mieli polskie orkielki.

Ślepy chyba tylko nie mógł wi- dzieć, kto to był. Bo do tychże szwadronów przejeżdżał dowódca AK, by przygotować akcję zewnętrz- ną w powstaniu, jakie miało nastą- pić. Przyjeżdżał późniejszy dowódca grupy Kampinos mjr Krzyżkowski pseudo „Szymon”.

Czy to nie było jasne? Pertrakta- cje u boku hitlerowców? Czy to nie mówić wyraźnie, kto doprowa- dził do powstania, do stworzenia set- tek tysięcy mogił dzieci, kobiet, sta- rców w ruinach Warszawy. Czy nie wystarczy, że z jednej strony USA walczyły z Hitlerem a z drugiej strony — hitlerowcy jedli stoninę ze- znaniem made in USA! Czy hitle- rowcy nie szli po naszych trupach i zgłaszali naszych miast i wsi tu- teczni naszymi najlepszymi bekami- mi jakie dostarczał rząd sanacyjny?

Dlatego nie zapominajmy o latach rodnienia się wolności dla wszystkich ludzi pokoju i pracy w Związku Ra- dzieckim a równocześnie o tym, co robili wówczas państwa kapitalis- tyczne, jak USA, Anglia, Francja a nawet i Polska pod rządem Piłsud- skiego? Życie — uczy! Toteż nie z- książek tylko zrodziło się we mnie uczucie serdeczne, przyjaźni do Związku Radzieckiego i miłości do naszej Polski Ludowej.

Andrzej Gąska

Sykowiak z Gogolewa

Dopiero w tych dniach — pisze nasza korespondentka Elżbieta Lokaj — trafiła do moich rąk broszura Stefana Ignara „Odpowiedź wrogom Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”. Z zainteresowaniem wczelam się w tej broszurze w wywody wroga naszej Ludowej Ojczyzny, Sykowiaka.

Zauważ, że nie miałam tej książki w zime, kiedy kierowałam zespołem czytelniczym w naszej wsi Gogolewo, powiat Stargard — Szczeciński. Bo u nas byli — może nawet są i nadal — Sykowiaki... Nie chcą oni widzieć wyrastania ludzi w Polsce i dorobku naszych spółdzielni produkcyjnych, ani szybko powstającej z gruzów Warszawy i wspaniałe rozbudowa- nego się przemysłu. Nie chcą wi- dzieć nawet tego, co się dzieje pod ich bokiem. Ubiegłej zimy każdy mieszkaniec naszej wsi przeczytał co najmniej pięć książek — Mickiew- cza, Słowackiego, Prusa, Orzeszko- wicz. Głęboko też się zamyślał nad „Cichym Donem” Szolochowa i po- wieścią „Daleko od Moskwy” Ażja- wa. A potem na zebraniach zespó- łów dyskusyjnych dawał wyraz te- mu, co w swym sercu odczuł i co w pamięci zachował na zawsze. Bo w naszym powiecie stargardzkim ma- my już 72 spółdzielnie produkcyjne a w wielu innych gromadach po- wstały komitety założycielskie.

Naszym „Sykowiakiom” to się o- czwyciźnie nie podoba. Józef Łaczek z Gogolewa na nich się właśnie wzoruje: Ani myśli pracować zespó- łowo. Gdy przed Świątami Odrodze- nia chłopci zobowiązali się jaknaj- prędzej zakończyć akcję żniwną, Ła- czek mówił: „Jakoś tam będzie, poco pośpiech...”

Wszystko, czym ogół żyje, do Łaczaka nie trafia. Wyższość ustroju socjalistycznego, do niego nie prze- mawia. Antypolskie wystąpienia Watykanu dla niego nie istnieją. Nic go też nie skłania do zajęcia stano- wiska w walce o pokój i bezpieczeń- stwo naszej Ojczyzny. Nawet wojna na Korei i wypadki w Berlinie rze- komo nie dochodzą do jego uszu...

Czyż to nie typowy Sykowiak? Walczymy na naszej wsi z gos- podarczym i społecznym zacofaniem. Będziemy walczyć również z Syko- wiakami-Łaczekami. W Polsce Lu- dowej, w której gospodarzami są ro- botnicy i chłopci — nie ma miejsca dla wrogów nawet takich, którzy kryją się za parawanem obójtności.

S. Z.

